W numerze: O maturach raz jeszcze • Vox populi • Generation X • Złoto • Bal • Mały przestępca • Felietony • Recenzje • Polonica

# odgłosu

Nr 18 (394)
9. V. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

Fot. WAF.

Niestrudzenie szedł ku temu dniu wszystkimi drogami wiodącymi przez pola bitew o Wolność. Prowadziły go ku temu dniu piaszczyste bezdroża wrześniowej klęski, asfalty francuskiego sromotnego odwrotu, pustynne trakty spod Tobruku, ścieżki znad fiordów i skaliste serpentyny włoskiego pogórza. Ale ku zwycięstwu przywiodła go wreszcie inna droga, najkrótsza i najlogiczniejsza, prosta, choć długa na tysiące kilometrów szosa Smoleńska, biegnąca przez Białoruś i polskie równiny, przez dukty leśne i przez powalony w popiół Berlin, aż nad Łabę, aż po dzień 9 maja 1945 roku.

Krew jego zasychała na bruku traconych i odzyskiwanych miast, wsiąkała w pył tak wielu dróg, w glinę tylu okopów. Gdy wreszcie dotarł do Łaby, nawet salwy na cześć Zwycięstwa nie dały mu zapomnieć o tym, że za nim, na szlaku długiego przemarszu pozostały spalone wsie, miasta zamienione w ruinę, opustoszałe hale fabryczne.

Więc i po najcięższej z wojen nie czekał go beztroski wypoczynek. Już nazajutrz stanął przy pługu, pochylił się nad warsztatem, chwycił za kielnię.

I tak go powinniśmy wspominać: polskiego chłopa i robotnika, nie szczędzącego krwi i życia, nawykłego do ciężkiego trudu, nigdy nie poddającego się rozpaczy. Żołnierza Słusznej i Zwycięskiej Sprawy.

KONRAD FREJDLICH

# TUROW PO SEZONIE

**Byłem w tych stronach w okresie zarazy, której trudno się było oprzeć, jak każdej pięknej zarazie; włączony w tłum ludzi z walizeczkami i tobołkami, mogłem się wydawać jednym z tych mężczyzn, którzy znudzeni stabilizacją zjeżdżali do Turoszowa w poszukiwaniu przygody i zarobku, niekiedy starannie zacierając za sobą przeszłość, aby nie wpaść w prokuratorskie sidła.**

Turów pociągał w równym stopniu romantyków i cyników, fachowców i hochsztaplerów, uczciwych i defraudantów, a nawet zwykłych autostopowiczów, którzy nierzadko odjeżdżali stąd nagrodzeni za swą ciekawość zaliczką na pracę nigdy przez nich nie podjętą. Krótko mówiąc byłem w tych stronach w okresie tzw. „akcji 400", kiedy gorączka werbunkowa osiągnęła zenit, ale ruch był wciąż wahadłowy, bo ludzie porzucali często nowe stanowiska pracy wracając na stare śmieci przerażeni perspektywą zamieszkiwania hoteli robotniczych, gdzie całymi tygodniami nie oglądali gotowanej strawy. Do pracy jeździło się na szesnaście, dwadzieścia godzin, padały rekordy zatrudnienia na dobę; sen i robota, sen i robota, jadłospis uproszczony do kiełbasy przegryzionej chlebem, w kółeczko. Ale nowi wciąż przybywali, nie kończyły się kolejki w dziale kadr i Kazio Gajewski, wtedy sekretarz ZMS Samodzielnego Oddziału Wykonawstwa Inwestycyjnego, kiedy skończyła się forsa organizacyjna na zapomogi dla świeżo angażowanych, wyciągnął własną kiesę i ratował przyjezdnych żywą gotówką, „parę dych, wisz, żebyś bratku nie umarł z głodu do pierwszej wypłaty" („wisz" było ulubionym słówkiem Kazia).

Tak, Turoszowem z tamtego okresu można się było zarazić, podobnie jak kraj zaraził się węglem brunatnym, który na koniec zaczęto wydobywać, toteż postanowiłem sobie przyjechać tutaj raz jeszcze, w okresie uruchomienia elektrowni, kiedy przygodni włóczędzy opuszczą okolicę przenosząc się w inne strony, gdzie przez miesiące organizacyjnego chaosu można stosować prawo pięści i uchylać się od odpowiedzialności. A tak się złożyło, że jak przed trzema laty zjechałem w styczniu, tym samym co i wtedy pociągiem bezpośrednim, warszawskim, nawet nie zmieniły się godziny w rozkładzie jazdy tyle, że teraz codziennie doczepiają wagon sypialny, bo dawniej technokracja mogła lulać w podróży tylko dwa razy w tygodniu.

2.

A jednak, mimo zbieżności tamtego i tego rozkładu jazdy, w odniesieniu do Turoszowa trzy lata to już historia, nie tylko na odcinku inwestycji jak to można nie tylko intuicyjnie przeczuwać, ale nawet oglądać z pociągu. Hałdy teraz już imponujące, tysiące ton zwałowanej ziemi, ilastego nakładu, który daje pewne wyobrażenie o rozmachu kopalni i elektrowni dymiącej całą mocą kominów.

Z pozoru wszystko jest zresztą tak samo. Droga z dworca prowadzi obok banku i „Delikatesów" wzdłuż koryta Miedzianki, gdzie jak dawniej mętną, prawie brunatną woda. Może tylko tyle inaczej, że trzeba kroczyć samemu, bez przygodnych współtowarzyszy, a przemarsz przez miasto z walizką wzbudza zainteresowanie przechodniów. Ale „Barburka" jak przed laty swojsko poznaczona odpryskami tynku po kulach karabinowych i te same zapachy kuchenne z restauracji na dole. Na pierwszy rzut oka nic się tu nie zmieniło poza może portiernią, teraz obszerną i oszkloną niczym recepcja w „Grand Hotelu", w końcu szczegół nie bardzo istotny, choć może istotny o tyle, że „Barburka" jest tylko robotniczym hotelem, zakładowym, a raczej „komfortowym hotelem robotniczym", jak uwielbiają klasyfikować nawiedzający Turoszów dziennikarze.

Co do mnie powodowałem się nie tyle komfortem, ile szukałem styku z ludźmi, którzy w okresie pionierki pokazali mi kawałek tutejszej rzeczywistości, odbiegającej mocno od tego, co my nauczyliśmy się dostrzegać jako rzeczywistość w dobie naszej małej stabilizacji. Miałem jeszcze świeżo w pamięci karnawałową zabawę sprzed lat trzech w sali przybranej balonikami z „antykoncepcji" i chrzczenie spirytusu oranżadą, którą trzeba było gospodarować jak wodą na pustyni: trzej taśmowi, kumple z jednej zmiany, zawzięli się na młodziutką kioskarkę, która wreszcie dała się wciągnąć do pokoju; tę noc karnawałową przegadałem z pewnym operatorem zwałowarki, który obskoczył wszystkie wielkie budowy w Polsce poczynając od Nowej Huty i przysięgał, że w Turoszowie zostanie na zawsze, ale nie dotrzymał słowa.

Tylko że nawet pobieżny rzut oka na listę lokatorów „Barburki" uprzytomnił mi jednak upływ czasu, bo żadnego z dawnych znajomych tam nie odnalazłem, wychodziło więc na to, że wzorem kolegów po piórze będę skazany na pisanie o komforcie i wyposażeniu; faktycznie, z kranu cieknie ciepła albo gorąca woda na żądanie, a pokojowe sprzątają wszystko na glanc. Na dole przygrywa wieczorami orkiesrta w „Gongu", młodzieżowym klubie a w braku potańcówki można się pogapić na telewizor. Tylko sąsiad ściągający nocą buty, łomoczący butami o podłogę za ścianą przypomniał mi Turoszów, dawny Turoszów z okresu zarazy. I pewna dziewczyna ubrana w spodnie, która nocą odwiedzała swych znajomych, zdaje się praktykantów z jakiegoś technikum, w sąsied-

Dalszy ciąg na str. 3

## ze ŚWIATA

*Zbieg to okoliczności, jak twierdzi Johnson, czy też rzecz zamierzona, jak utrzymują niektórzy komentatorzy — dość, że w tym samym dniu zabrali głos na tematy międzynarodowe dwaj prezydenci: de Gaulle przed kamerami telewizyjnymi i mikrofonami radiowymi oraz Johnson na konferencji prasowej. Komentatorzy, eliminujący przypadek w zbieżności tych dwóch dat, domniemywają, że Johnson chciał po prostu sprawić, by światowa prasa nie poświęcała całego miejsca myślom prezydenta Francji. Jeśli tak — to cel nie został osiągnięty. Nieproporcjonalnie więcej uwagi przywiązuje się właśnie do wystąpienia de Gaulle'a. Chyba również dlatego, że miało ono miejsce w czasie pobytu w Paryżu min. Gromyki.*

*Główne myśli wystąpienia można streścić w następujących punktach:*

*— jesteśmy przeciwko atlantyckiej Europie, ponieważ „automatycznie byłaby ona podporządkowana protektorowi zza oceanu";*

*— opowiadamy się za „rzeczywistą solidarnością z krajami Zachodu i „aktywnym wzajemnym zrozumieniem" z krajami Wschodu.*

*— nie może być usprawiedliwiona żadna hegemonia,*

*— „Francja ma swoją politykę i jest ona opracowywana w Paryżu".*

*— ponieważ nie istnieje niezależność polityczna bez niezależności ekonomicznej — zmierzamy do stabilizacji finansowej, ekonomicznej i monetarnej.*

*Prasa francuska, komentując wystąpienie szefa państwa, zwraca głównie uwagę na dwa tematy: niezależność Francji od Stanów Zjednoczonych i potępienie wojny w Wietnamie.*

*A oto kilka tytułów z dzienników amerykańskich: „De Gaulle odmawia zaakceptowania przywództwa USA"; „De Gaulle ostro potępia wojnę w Wietnamie"..., „De Gaulle ma apetyt na przywództwo trzeciej siły", a nawet i „De Gaulle dryfuje na Wschód".*

*W treści zaś tych publikacji podkreśla się przede wszystkim słowa min. Gromyki, który o wystąpieniu de Gaulle'a miał powiedzieć, że jest tam „seria bardzo interesujących i głębokich myśli na temat problemów polityki międzynarodowej".*

*W odróżnieniu od głosu, który rozległ się w Paryżu, dość kompleksowo podejmującego podstawowe problemy świata, w Waszyngtonie Johnson już po raz tam któryś z rzędu oświadczenie swe poświęcił niemal wyłącznie konfliktowi wietnamskiemu. „Uzasadniając" w sposób zawiły, dlaczego Stany Zjednoczone zdecydowały się na „małą wojnę" w Wietnamie, prezydent wcale nie w bardziej przekonywającej formie niż poprzednio powtórzył swą ofertę dyskusji bez warunków wstępnych. Całość robi wrażenie wystąpienia przede wszystkim defensywnego, mającego na celu uciszyć stale powiększające się zastępy krytyków polityki amerykańskiej.*

*Prezydent Johnson — jest bowiem — zdaniem prasy — „rozgoryczony"; „zaskoczony" i „rozgniewany" brakiem zrozumienia jego polityki zarówno we własnym społeczeństwie, jak i za granicą.*

*Cóż jednak znaczą słowa o możliwości rokowań, wobec wymowy faktów? A te są nieodparte: zwiększenie częstotliwości nalotów na terytorium DRW i wprowadzenie do walk oddziałów piechoty morskiej.*

*O misji, jaką Stany Zjednoczone wyznaczają swym oddziałom wojskowym, może świadczyć również przykład z kontynentu amerykańskiego — desant piechoty morskiej w Santo Domingo. Jak zwykle pod płaszczykiem obrony życia obywateli amerykańskich wprowadzono do walk interwencyjne wojska. W ten sposób wydarzenia dominikańskie mogą mieć pewne implikacje międzynarodowe.*

*Jakie jest tło wypadków w Dominikanie?*

*W lutym 1963 roku urząd prezydenta tego kraju objął Juan Bosch — pisarz i działacz liberalno - burżuazyjny, który w wyborach otrzymał 62 proc. głosów. We wrześniu tego samego roku Stany Zjednoczone, obawiając się następstw liberalizacji, uznały Boscha za niebezpiecznego i pokierowały przewrotem, który oddał władzę w ręce reakcyjnego triumwiratu z Cabralem na czele.*

*Przed kilku dniami podjęto walkę przeciwko tej dyktaturze, domagając się powrotu Boscha. Jako, że rozmiary powstania szybko się rozrastały — Waszyngton podjął interwencję. Oczywiście, pośpiesznie podano do wiadomości, że wśród powstańców dominikańskich znajdują się „elementy komunistyczne".*

*Tymczasem w telefonicznym wywiadzie dla chilijskiej rozgłośni — „Radio Portales" Bosch wyraził przekonanie, że powstanie się powiedzie. „Prestiż narodu dominikańskiego — stwierdził on — wzniósł się na wyżyny, jakich nie osiągnął w swej dotychczasowej historii, w walce o swe swobody demokratyczne i o rządy konstytucyjne, swobodnie wybrane przez naród".*

*Nie przesądzając, jak zakończą się wydarzenia w Dominikanie, można przecież stwierdzić bezspornie, że kolejna interwencja Stanów Zjednoczonych „chwały" im nie przyniesie. Może być tylko doskonałą ilustracją prawdziwych intencji polityki amerykańskiej: dławienia za wszelką cenę wzmagającego się ruchu narodowo-wyzwoleńczego.*

*W. SŁAWSKI*

## Kronika TYGODNIA

### NIEDZIELA, 25 KWIETNIA

★ Dziennik „Washington Star" doniósł, że USA nie wykluczają użycia broni jądrowej w wojnie wietnamskiej. Agencja TASS stwierdza w związku z tymi doniesieniami: Trzeba stracić całkowicie poczucie rzeczywistości, aby mówić o możliwości użycia w Wietnamie broni jądrowej.

★ Jak donoszą agencje prasowe, w Brukseli opublikowano komunikat KP Belgii zapowiadający zwołanie konferencji zachodnioeuropejskich partii komunistycznych w celu omówienia problemu wietnamskiego.

★ Kraje skandynawskie czynią usilne zabiegi o rozszerzenie stosunków gospodarczych z Chinami Ludowymi. W marcu bawiła w Pekinie delegacja kół gospodarczych Danii, przed tygodniem powrócił z Chin szwedzki minister przemysłu, w chwili obecnej przebywa w stolicy ChRL szef departamentu ekonomicznego fińskiego MSZ, oczekiwany zaś jest przyjazd przemysłowców norweskich.

### PONIEDZIAŁEK, 26 KWIETNIA

★ Szef państwa Kambodży książę Sihanouk oświadczył, iż rząd jego odmówi udziału w takiej konferencji na temat Kambodży, która miałaby być jedynie pretekstem dla prowadzenia rozmów na temat Wietnamu. Podobną opinię wyraził premier Chin Czou En-lai i premier WRD Phan Van Dong.

★ Prawicowa prasa skandynawska zwraca uwagę, że w Danii coraz mocniej ugruntowuje się opinia o konieczności uznania NRD. Żądania te są wysuwane nie tylko przez postępowe koła społeczne, lecz przez sfery zbliżone do parlamentu i rządu.

★ Goldwater do dziennikarzy: „Jeśli panowie nie wiecie kto jestem, to się wam przedstawię. Stoi przed wami żadny wojny sukinsyn, który chciał, aby rząd zrobił coś z drogami zaopatrzenia w północnym Wietnamie. Teraz ci, którzy właśnie to robią nazywają się mężami stanu".

★ Prasa zachodnioniemiecka donosi, że rząd francuski wprowadził ograniczenia w sprawie wyjazdów swych ministrów za granicę. Bonn interpretuje tę decyzję jako podjętą przez de Gaulle'a próbę stworzenia alibi dla nieobecności francuskich ministrów na posiedzeniach NATO I EWG.

★ Jak wykazują dane statystyczne od 1959 roku około pół miliona młodzieży i osób w średnim wieku opuściło wieś węgierską przenosząc się do miast. Przeprowadzona ostatnio ankieta wykazała, że na każdych 100 członków spółdzielni produkcyjnych 40 ukończyło 60 lat, natomiast tylko 2 — ma poniżej 20 lat. Spółdzielnie produkcyjne na Węgrzech obejmują około 80 proc. obszaru ziemi ornej i liczą ponad 1 milion członków.

### WTOREK, 27 KWIETNIA

★ DRW wystosowała protest do MKNiK przeciwko wysłaniu przez rząd brytyjski do Wietnamu południowego misji doradców administracyjnych i policyjnych. Wychodzący w Hanoi dziennik Whan Don stwierdził, że Wilson „odgrywa bezwstydną rolę w problemie wietnamskim".

*Premier Wilson wobec konfliktu indochińskiego w oczach karykaturzysty z „Daily Mail"*

★ Przywódca jednej z kontrrewolucyjnych organizacji emigrantów kubańskich Urrutia oświadczył po powrocie z Tajwanu, że Czang Kai-szek obiecał mu współpracę w realizacji planu obalenia rządu Fidela Castro. Dziennik hawański Hoy pyta w związku z tym — „czy Urrutia obiecał ze swej strony pomóc Czang Kai-szekowi w wyzwoleniu Chin?"

★ Według ankiety przeprowadzonej ostatnio przez Instytut Gallupa mniej więcej połowa społeczeństwa amerykańskiego wypowiada się za zaprzestaniem działań wojennych w Wietnamie. AFP komentując rezultaty ankiety stwierdza że ilość głosów wypowiadających się za pokojowym rozwiązaniem konfliktu wietnamskiego w widoczny sposób irytuje Biały Dom.

### ŚRODA, 28 KWIETNIA

★ Oficjalne koła w Paryżu podały do wiadomości, że okręty francuskie nie wezmą udziału w manewrach morskich Paktu SEATO, które mają trwać od 1 do 24 maja. Podobną decyzję podjął rząd Pakistanu. Agencje zachodnie rozpatrują w związku z tym możliwość wycofania się Francji z SEATO.

★ „Żenminżipao" o teorii stopniowania wojny w Wietnamie: „Droga stopniowania" obrana przez imperialistów USA jest drogą wiodącą do grobu. Doprowadzi ona nie do łuku triumfalnego lecz do wrót piekieł".

★ W przemówieniu wygłoszonym z okazji uroczystego otwarcia fabryki diod premier Bułgarii T. Żiwkow nawiązał do publikacji prasowych na Zachodzie szerzących nieprawdziwe pogłoski o wykryciu rzekomego spisku w Bułgarii, którego celem miało być zerwanie stosunków Bułgarii z ZSRR. Stwierdzamy z tej trybuny — powiedział T. Żiwkow — że nie ma u nas sił, które mogłyby oddzielić Bułgarię od ZSRR.

### CZWARTEK, 29 KWIETNIA

★ Kubańskie związki zawodowe ogłosiły odezwę 1-majową wzywającą społeczeństwo do zakończenia na czas zbiorów trzciny cukrowej. Pomyślny przebieg zbiorów trzciny cukrowej — czytamy w odezwie — stanowi wielkie zwycięstwo nad imperializmem i w walce z blokadą gospodarczą przeciwko Kubie.

★ W przedmowie do piątego tomu „Dzieł Chruszczowa" opublikowanego w przekładzie na język chiński stwierdza się, że „w ostatecznym rachunku wszystkie obecne rozbieżności w międzynarodowym ruchu komunistycznym" są następstwem XX Zjazdu KPZR.

★ „Słabi, którzy umieją posługiwać się swoją słabością bywają silni. Jest to tajemnica kobiet i krajów rozwijających się".
**Maurice Couve de Mourville**

★ Instytut Badania Opinii Publicznej dziennika „Komsomolskaja Prawda" przeprowadził ankietę wśród klientów wielkiego domu towarowego w Moskwie, z której wynika, że spośród 346 osób objętych ankietą 180 (52 proc.) przyjechało do Moskwy wyłącznie w celu dokonania zakupów. Osoby te wydały na przejazd ponad 3 tysiące rubli. Dziennik zapytuje jak wielkie muszą być wydatki na podróż skoro około 150—180 tysięcy osób codziennie przyjeżdża tu spoza miasta. Za braki w zaopatrzeniu prowincji pismo czyni odpowiedzialnym przemysł lekki oraz niedostateczną znajomość rynku przez agendy handlowe.

### PIĄTEK, 30 KWIETNIA

★ Oświadczenie ministra Gromyki złożone w czasie konferencji prasowej odbytej w ostatnim dniu wizyty radzieckiego ministra we Francji na temat zbieżności stanowisk obu państw co do tego, że powstałe po drugiej wojnie światowej granice są nienaruszalne, oraz że NRF nie powinna posiadać broni atomowej, wywołało w kołach politycznych Bonn szok i gniew. Komentatorzy prasy zachodnioniemieckiej biadają, że Francja wyprowadziła swojego bońskiego sojusznika w pole i montuje pod nosem Bonn sojusz ze Związkiem Radzieckim.

★ W Dominikanie trwają walki między zwolennikami przywrócenia systemu konstytucyjnego a siłami reakcyjnymi junty wojskowej. Stany Zjednoczone dokonały aktu brutalnej interwencji wysyłając na wyspę oddziały amerykańskich sił zbrojnych celem zachowania u władzy reakcyjnego reżimu dyktatury i zdławienia wolnościowych dążeń narodu dominikańskiego.

### SOBOTA, 1 MAJA

★ „Gorąca linia" łącząca Biały Dom z Kremlem została unieruchomiona na przeciąg szesnastu minut z powodu uszkodzenia przewodów przez duński buldożer. Duńskie władze łączności natychmiast uruchomiły zastępcze połączenie radiowe między Moskwą a Waszyngtonem via Tanger.

★ Dwie firmy francuskie zawarły kontrakt wartości 10 milionów dolarów na budowę w Związku Radzieckim największego w świecie zakładu produkcji mas plastycznych (laminatów).

★ Agencja AFP powołując się na wiadomości z Waszyngtonu podaje, iż USA rozważają możliwość wysłania do Wietnamu dalszych 40—50 tysięcy żołnierzy.

★ Wybitny ekonomista i deputowany do Bundestagu z SPD Fritz Baade oświadczył w wywiadzie udzielonym czasopismu czechosłowackiemu, iż NRF winna jest NRD z tytułu działalności na szkodę NRD w czasie otwartej granicy przynajmniej 85 miliardów marek. Do sumy tej należy zdaniem zachodnioniemieckiego ekonomisty dodać 25 miliardów marek z tytułu reparacji jakie NRD wypłaciła za całe Niemcy.

## POLONICA

**„WOREK JUDASZÓW" NIENACKIEGO W ZSRR**

Miesięcznik „Sibirskije ogni" (nr 11 i 12), wydawany w Symbirsku, opublikował powieść Zbigniewa Nienackiego „Worek judaszów" w tłumaczeniu W. Masterenko. Warto zaznaczyć, że jest to już drugi przekład tej samej powieści na język rosyjski (pierwszego tłumaczenia dokonała Gołowskaja). Również w wychodzącym w Erywaniu piśmie armeńskim „Awangard" ukazał się w odcinkach „Worek judaszów", który z rosyjskiego przełożył na armeński Wiktor Babajan. „Worek judaszów" po publikacji w tym czasopiśmie, ukaże się w oddzielnym wydaniu książkowym. „Awangard" zamieściło ponadto notatkę o autorze powieści oraz jego fotografię.

**„LORD JIM" SFILMOWANY**

Jedna z najlepszych powieści Józefa Conrada doczekała się ekranizacji pod kierownictwem Richarda Brooksa. „Die Welt" z 20 marca br. podaje, że Richard Brooks studiował osiem lat to dzieło Conrada, ba! przeczytał nawet wszystkie krytyki literackie o „Lordzie Jimie", odbył podróż na Daleki Wschód, gdzie Conrad umieścił akcję swojej powieści, i wreszcie napisał scenariusz, a następnie nakręcił film ze znakomitą obsadą. Niestety — zdaniem recenzenta „Die Welt", którym jest Richard Friedenthal — film się nie udał. „Z problematyki Conrada zostało tyle, co nic" — pisze wspomniany recenzent. Chociaż recenzja jest surowa, radzibyśmy obejrzeć ten film, przede wszystkim ze względu na naszego rodaka Józefa Conrada.

**NEKROLOG DR STANISŁAWA LAMA**

Paryski „Tygodnik Polski" w swoim 13 numerze z marca br. donosi o śmierci znakomitego krytyka literackiego i wydawcy szeregu dzieł poświęconych literaturze polskiej — Stanisława Lama. Podając w wielkim skrócie życiorys naszego emigracyjnego krytyka, autor wspomnień ze smutkiem dodaje: „Podczas całego swego długiego pobytu w Paryżu utrzymywał serdeczne kontakty z krajem. W Jego domu znajdowali opiekę i pomoc liczni Polacy z kraju, którzy przybywali do Francji. Śmierć St. Lama jest dotkliwym ciosem dla polskiej kultury". Od siebie pragniemy przypomnieć naszym czytelnikom niektóre tytuły jego prac, których w sumie wydał 13, „Czytelnictwo współczesne w Polsce", „H. Sienkiewicz — cechy i elementy twórczości", „Antologia poezji polskiej 1939—1945", „Proza polska 1939—1945".

**TOURNEE TEATRU POWSZECHNEGO PO ZSRR**

Obszerny reportaż pt. „Teatr z ul. Zamojskiego" poświęcony warszawskiemu Teatrowi Powszechnemu, który w najbliższych dniach wyjeżdża na tournée po Związku Radzieckim zamieściła „Sowietskaja Kultura" z dnia 8 kwietnia br. W Moskwie i Wilnie zostaną zaprezentowane publiczności trzy sztuki, a mianowicie: „Wesele" Wyspiańskiego, „Przedwiośnie" Żeromskiego oraz „Zbrodnia i kara" Dostojewskiego — w reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Dziennik zamieścił także zdjęcie popularnej pary aktorskiej występującej w „Weselu" — Zofii Kucówny jako Panny Młodej i Adama Hanuszkiewicza jako Poety.

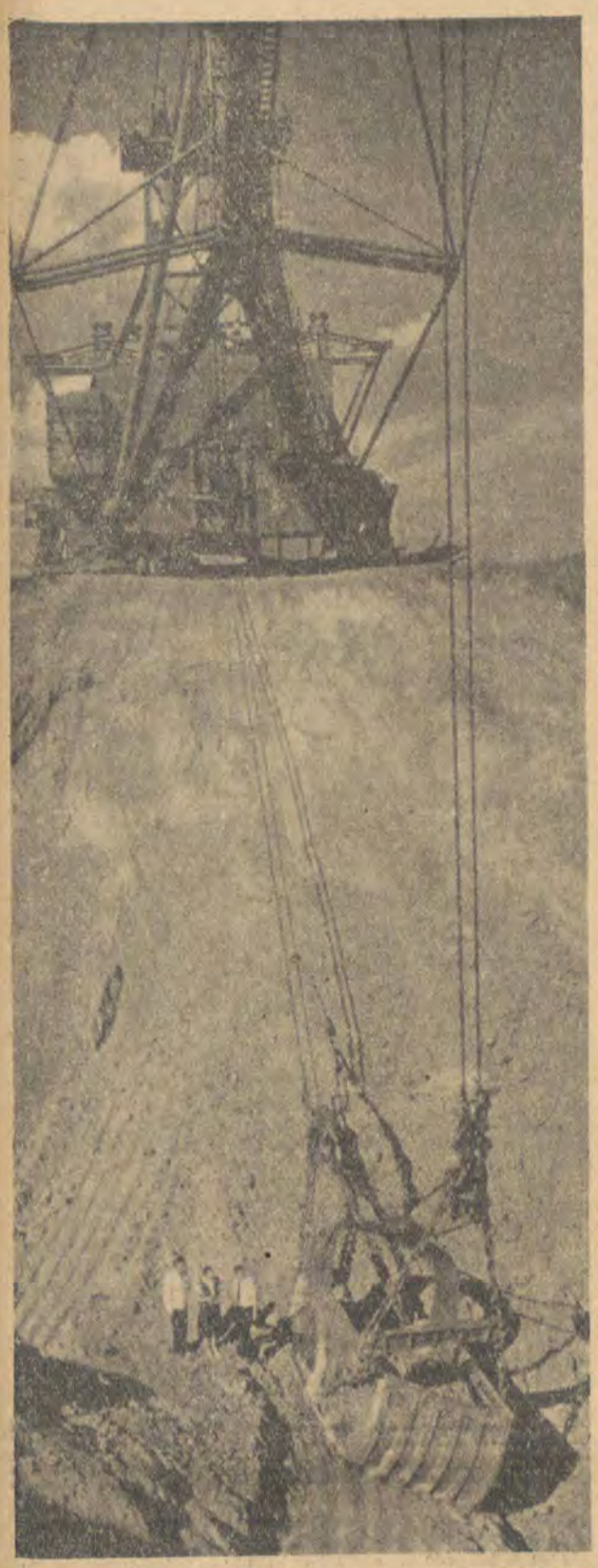

# TURÓW PO SEZONIE

## Dalszy ciąg ze str. 1

nim pokoju. Dziewczyn tutaj brakuje ciągle, jak na szlakach poszukiwaczy złota.

3.

Trzy lata to już nie tylko historia, to nawet archeologia albo prehistoria. Trzeba więc posłuchać życzliwej rady portiera i przygodnie zatrzymaną Warszawą pojechać do „Pentagonu", gdzie można się dowiedzieć wszystkiego o ludziach i o samym kombinacie górniczo-energetycznym. Starzy lokatorzy „Barburki" wynieśli się bowiem częściowo do Zgorzelca, gdzie powstaje centrum mieszkaniowe Zagłębia, częściowo zaś do osiedla awaryjnego w Bogatyni.

„Pentagon". Nazwa w pierwszej chwili mocno wstrząsa mym na wskroś pacyfistycznym sumieniem. W rzeczywistości nie ma w niej nic z ducha soldateski, jest swojska i prawie realistyczna. Kierowca tłumaczy mi, że to skrzyżowanie dwóch uroczych polskich czasowników: petać i gonić. Czyli inaczej: kto się peta, tego gonić. Jasne? Kiwam głową, że co do etymologii, to oczywiście.

„Pentagon" to kompleks biurowców o lekkiej, nowoczesnej konstrukcji. Siedziba dyrekcji, komitetu zakładowego partii, ZMS, skoro popadliśmy w styl wszelakich baedeckerów. Ale porządki architektoniczne mało zaczynają mnie obchodzić, gdy tylko dowiaduję się od woźnego, że jestem na tropie, najważniejszym ze wszystkich tropie Inżynier A., którego losy przed trzema laty były symbolem egzystencji budowniczych kombinatu, nie tylko przebywa w tej chwili w gmachu, ale przebywa tu w ogóle, gdyż sprawuje Bardzo Odpowiedzialny Urząd. Wtedy wykonywał bardzo odpowiedzialną i bardzo niewdzięczną pracę. Przerzucany z odcinka na odcinek montował coraz to nowe brygady pracowników, których trzeba było sobie wychować na ludzi, zanim można było spróbować nauczyć ich pracy na prototypowych i bardzo drogich urządzeniach. Wszystko było improwizacją, próbą sił i nerwów. Posunięcie taśmociągu trwało całe dni i kończyło się zniszczeniem części rolek, albo pogięciem bębnów. Jedyna zwałowarka pluła swoje 5 tys. m sześciennych ziemi na godzinę, ale w razie jakiejś awarii odkrywkę obiemował paraliż i trzeba było robić wszystko, żeby natychmiast usunąć uszkodzenie. Istne piekło. Inżynier A. mieszkał w „Barburce" i odrzucił propozycje przeniesienia się do domków w Opolnie-Zdroju, opanowanych przez inteligencję techniczną, bardziej mu odpowiadało środowisko robotnicze. Był po świeżym zawodzie miłosnym i zamyślał o przeprowadzeniu rozprawy rozwodowej z żoną, znaną aktorką, która pozostała „gdzieś w Polsce". Jeżeli nie pracował, albo też nie pił, to na pewno przygotowywał się do egzaminów na uczelni technicznej w Cottbus (NRD).

Do inżyniera A. wprowadziła mnie sekretarka. Była to jedyna zaskakująca odmiana, gdyż na pierwszy rzut oka tak bardzo to on się znowu nie zmienił, a choć powitał mnie słowami piosenki z „Kabaretu Starszych Panów", siwych włosów też u niego nie widać. Jest jak dawniej rzutki, dowcipny i energiczny. I zapewne nie przestał być symbolem „najstarszej" wiary Turowa, chociaż sam symbol przeszedł ogromną ewolucję.

Czy chcę, żeby obrazowo odmalował sytuację? Wobec tego zada mi pytanie: czy wiem, jaka jest różnica pomiędzy budowaniem kopalni a jej eksploatacją? Nie tylko wskaźniki ekonomiczne, które w okresie eksploatacji zaczęły działać, więc będzie musiał szukać wybiegów, żeby mi dać samochód na objazd terenu. Wskaźniki ekonomiczne to pół biedy, a zresztą czas już najwyższy, aby obywatele Polski Ludowej otrzymali z powrotem to, co wyłożyli na budowę Turoszowa. Różnica jest bardziej istotna. Eksploatacja kopalni to jest popychanie kółeczka patykiem, w nieskończoność popychanie kółeczka patykiem. Po tamtych wysiłkach i napięciu włożonym w budowę, ta sytuacja jest po prostu nieznośna. Jest błogosławiona dla ludzi wygodnych, którzy nigdy w życiu nie rozgrywali dużej gry, nie znają hazardu pracy ani jej ryzyka. Ale jest nie do wytrzymania dla człowieka, który przyłożył rękę do kilku największych inwestycji w Polsce i zaraził się oddechem wielkiej budowy.

Tymczasem, cóż, pozostaje popychać patykiem kółeczko i chwalić uroki stabilizacji. Ożenił się właśnie z repatriantką, która kocha dom i umie stworzyć ciepło rodzinne. Myśli o kupnie samochodu, gdyż w zasadzie zakończył etap urządzania mieszkania.

Przed pożegnaniem gadaliśmy chwilę o Bełchatowie.

4.

„Homo novus" pojawił się u mnie w hotelu z rannym słońcem i czekał, aż się ubiorę, aby zaprowadzić mnie do zaparkowanego przed bramą „gazika". Ubrany był w nieprzemakalny skafander i wysokie oficerki, które z dawien dawna straciły połysk. Inżynier K., jako absolwent nowo otwartej sekcji węgla brunatnego na AGH w Krakowie, znalazł zatrudnienie na oddziale zwałowania turowskiej kopalni. Jest, a raczej będzie dobrym fachowcem, gdyż zagadnienia teoretyczne eksploatacji węgla brunatnego ma w jednym palcu. Rozmowę zaczęliśmy dokładnie od tego, na czym zakończyłem rozmowę z inżynierem A. Inżynier K. nie kryje bowiem swego ogromnego zainteresowania inwestycją bełchatowską. Zdaje się, że była ona bezpośrednim motywem wyboru specjalności. Zalety Bełchatowa. Po pierwsze gdzie nowa, wielka budowa, tam nowa, wielka forsa, której jakiś tam mikron można zarobić. A poza tym położenie geograficzne — duże miasta, Łódź, Warszawa, do których teraz trzeba jechać prawie pół doby. Wyliczając zaginą palce i jeszcze trzyma wyprostowane w pogotowiu, kiedy wspinamy się na szczyt hałdy w pobliżu budynku dyspozytorni. W baraczku zaadaptowanym na magazyn fasuję gumowe buty i futrzankę. Z butów chcę zrezygnować, co wzbudza wesołość. No tak, ale nie znałem jeszcze tutejszego błota, trzy lata temu było skute lodem.

A błota są takie, że człowiek łatwo może się w nich utopić, powiada magazynier. Nie mówiłby tego, gdyby jemu samemu nie zdarzył się taki przypadek i tylko spychaczowi zawdzięcza, że go wyciągnięto. Spychy zresztą też grzęzną, jeden musi wyciągać drugiego. Ale co tam spychy, nawet zwałowarki muszą uważać na błoto, bo jak się zapadną, na tych szerokich na parę metrów gąsienicach, to i miesiąc czasem nie starczy na wyprowadzenie ich z uwięzi. Śmiesznie to wygląda, gdy chłopaki szturchają łopatami, przy tych długich na 160 m kolosach, ale im nie jest do śmiechu.

Inżynier K. porusza się po tutejszych błotach jak kot, więc idąc za nim prawie nie ryzykuję zapadnięcia. Gadamy nie zwracając uwagi na huczący taśmociąg, który przenosi zebrany nadkład od koparek na zwałowarki. Zwałowarek jest już bowiem kilka i w razie potrzeby można jedną zastąpić inną, unieruchomienie kopalni już nie zagraża, wystarczy skierować wybierany nadkład na inną nitkę taśmociągu.

Wysoka organizacja ruchomego żelaza, które obraca się, zgrzyta, płynie, nadaje całemu pejzażowi jakąś filmową wymowę. Kadry zmieniają się, ale nie da się uniknąć tej płynności, potoczystości żelaza. Przecinamy taśmociąg wspinając się na specjalny mostek, dochodzimy do innej nitki, znowu wracamy. Dopiero po jakimś czasie orientuję się, że mój przewodnik ściśle wykonuje dyrektywy inżyniera A., który pewnie postanowił spłatać mi figla. Zachciało mu się mocnych wrażeń, których tutaj nie można otrzymać, niechże się więc przynajmniej zmęczy, brzmiały pewnie dyrektywy. Zapadając się po kolana w błocie wykonujemy pracę taśmowych, którzy tak drepczą codziennie kontrolując taśmociąg. Ano, niezbyt to przyjemne, a nawet latem podobno nie jest lepiej, bo błoto zamienia się w kurz i ludzie smarkają kawałkami torfu. Na pierwszy rzut oka węgiel brunatny przypomina bowiem najzwyklejszy torf.

Wreszcie pora na wytchnienie, na pokładzie zwałowarki. W przytulnej kabinie podawarki inżynier K. kończy swoje zwierzenia: że żona, że mieszkają tutaj na osiedlu awaryjnym, że niskie pobory, a w każdym razie niższa niż się spodziewał na uczelni, że Bełchatów to jest wyjście. Dla niego i dla kolegów, którzy też ukończyli brunatny. Czyli w ogóle filozofia kibica. Ale w końcu czego wymagać od nich, którzy przyjechali tutaj w okresie popychania kółeczka patykiem i pchają je zresztą z całych swych sił, oddając temu zajęciu wszystkie umiejętności, jeżeli nie cały zapał.

Kilkudziesięciometrowe ramię zwałowarki bez przerwy rozrzuca nadkład i nieustannie dymi turowska elektrownia, a kablami biegnie prąd o napięciu 6 tys. V do trzech sąsiadujących krajów. Ludzie przyjeżdżają do pracy na osiem godzin i po pracy dalej popychają kółeczko patyczkiem, meblują się, zakładają rodziny, kupują skutery albo samochody. Nie można wymagać więcej, gdy jest po sezonie. Więcej można pamiętać.

**KONRAD FREJDLICH**

---

# O maturach raz jeszcze...

**JULIAN RADWAŃSKI**

Wprowadzonej ostatnio zarządzeniem Ministerstwa Oświaty z dn. 10 lutego 1965 r. reformie egzaminów dojrzałości poświęcono już wiele artykułów w prasie codziennej i periodykach; wielu ludzi, między innymi i nauczycieli, wypowiadało się na temat matur i za, i przeciw zapowiadanym zmianom. Niestety, niepokój i dezorientacja w tej sprawie trwają w społeczeństwie nadal.

Po pierwszym okresie entuzjazmu i zadowolenia zaczęło rodzić się coraz więcej wątpliwości i obaw co do celowości zmian dokonanych w regulaminie egzaminów maturalnych. Ażeby łatwiej było zrozumieć, na czym rzecz polega, pozwolę sobie na wstępie przytoczyć te punkty regulaminu, które w zasadniczy sposób zmieniają dotychczasowy system egzaminów, obowiązujący od roku 1960:

● Uczeń dopuszczony do egzaminu dojrzałości musi złożyć w przewidzianym terminie następujące egzaminy:

— pisemne — z języka polskiego i matematyki,

— ustne — z historii Polski (łącznie z Wiedzą o Polsce i świecie współczesnym), biologii, chemii, fizyki lub geografii (przedmiot do wyboru),

— języka obcego nowożytnego (do wyboru z obowiązujących w danej szkole).

● Od egzaminu ustnego z historii Polski lub języka obcego komisja egzaminacyjna zwalnia ucznia, który w klasie X i XI miał końcowe oceny dobre, albo w klasie XI uzyskał końcową ocenę bardzo dobrą. Przepis ten nie dotyczy przedmiotu wybieranego jako dodatkowy.

● Jeden z punktów nowego regulaminu mówi o dopuszczeniu do egzaminów ucznia z jedną oceną niedostateczną. Decyzję o dopuszczeniu podejmuje rada pedagogiczna, uzasadniając ją ważnymi przyczynami (choroby, wypadek losowy, kłopoty rodzinne itp.). W tym wypadku uczeń zdaje egzamin dodatkowo z tego przedmiotu. Jeżeli uczeń otrzymał roczną ocenę niedostateczną z przedmiotu objętego egzaminem pisemnym, zdaje z niego egzamin pisemny i ustny.

● Uczeń, który otrzymał na egzaminie pisemnym ocenę niedostateczną z przedmiotów objętych tym egzaminem (język polski, matematyka) jest dopuszczony do egzaminu ustnego, jeżeli w klasie XI otrzymał z tych przedmiotów ocenę co najmniej dostateczną. Egzamin ustny zdaje wtedy rozszerzony o te przedmioty.

● W razie niezdania egzaminu dojrzałości lub odstąpienia od niego uczeń ma prawo w ciągu najbliższego roku szkolnego powtórzyć dwukrotnie egzamin: w końcu września lub w terminie wiosennym. Przy powtórzeniu egzaminu komisja egzaminacyjna zalicza uczniowi zdane poprzednio egzaminy.

*

**Tyle mówi nowy regulamin o zmianach, jakie zostały wprowadzone przez Ministerstwo Oświaty do egzaminów dojrzałości w liceach ogólnokształcących, a które mogły by zainteresować społeczeństwo.**

W technikach zawodowych jest podobnie, z tą różnicą, że poza egzaminem pisemnym z języka polskiego i matematyki, uczeń zdaje egzamin ustny z historii Polski łącznie z wiedzą o Polsce i świecie współczesnym i drugi z przedmiotu zawodowego.

**Jak zareagowali na te innowacje zainteresowani? Młodzież, rodzice, nauczyciele?**

Oto kilka charakterystycznych wypowiedzi uczniów szkół łódzkich:

**● Pyta pan o moje zdanie w związku z maturami? Proszę pana, opinia moja i moich kolegów jest taka, że z tą reformą nie jest w porządku. Nauczyciel od historii uwziął się na mnie i czuję, że zrobi mnie na maturze w konia... zresztą nie tylko mnie... Przedtem, gdy mogłem wylosować kartkę z pytaniami, zawsze mogłem liczyć na szczęście, a teraz profesor może mnie wykosić najgłupszym pytaniem, jeśli zechce. A poza tym, co to za ułatwienie z Wop-em? Materiał trzeba i tak, i tak znać — tylko stopnia nie postawią.**

**● U nas, w VI liceum, stale dyskutujemy nad tymi zmianami. Po co one! Komu dają korzyść? Dawniej tylko przez jeden dzień człowiek się denerwował, a teraz — trzy. Albo z tym powtarzaniem? Zdam, załóżmy we wrześniu — to i tak do żadnej szkoły się nie dostanę i rok będę się obijał. Zawiadomienie o zmianach też przyszło za późno. Ja wybrałem język francuski jako piąty przedmiot, a tymczasem okazało się, że teraz stał się on obowiązkowym przedmiotem — musiałem więc brać się za chemię. Ale tak Bogiem a prawdą, nie umiem jej dobrze... A i te kartki nieszczęsne...**

**● Panie profesorze, proszę mi wierzyć, że te matury będą gorsze niż poprzednie. W naszej klasie, gdy tylko dowiedzieli się, że będą jedynie pisemne egzaminy z języka polskiego i że nawet z dwójką można zdawać — zupełnie przestali się uczyć. Mówią, że łatwo będzie, więc nie ma obaw. Ja na przykład liczyłam na to, że zdołam sobie poprawić ocenę na ustnym, a tutaj klapa... Niestety, wiem o tym, że pisać zbyt dobrze nie umiem, ale z ustnych odpowiedzi zawsze miałam dobre oceny zresztą sam pan profesor wie najlepiej...**

Nauczyciele mają podobne obiekcje, oczywiście z nieco innych powodów, ale niestety mają. Natomiast nie spotkałem dosłownie ani jednego głosu, który by chwalił Ministerstwo Oświaty za pomysł i wykonanie, mimo że pytałem o to kilkanaście osób z różnych szkół, o różnym stażu pracy i o różnych specjalnościach. W wypowiedziach ludzi, którzy przez lata całe stykają się z młodzieżą szkolną w codziennej pracy i doskonale ją znają, najczęściej powtarzały się następujące zarzuty i wątpliwości.

● **Podawanie zagadnień** do omówienia przez nauczyciela jest nieszczęśliwym pomysłem, który nie może zdać egzaminu, ponieważ już teraz wśród młodzieży najwięcej jest obaw co do bezstronności niektórych nauczycieli. Zgodna jest opinia mych rozmówców, że należało zachować losowanie kartek.

● **Najistotniejszym brakiem** zreformowanego regulaminu jest zdeprecjonowanie wartości dwóch najważniejszych w szkole przedmiotów — języka polskiego i matematyki. Praca pisemna nie wykaże znajomości przedmiotu, zwłaszcza, gdy ocena dostateczna zwalnia ucznia od egzaminu ustnego. A ocena dostateczna jest najbardziej, niestety, popularną oceną w szkole...

Niektórzy sprytniejsi uczniowie znaleźli już znakomite rozwiązanie: „Są trzy tematy z zakresu trzech klas, więc przygotuję sobie jedną epokę i polski mam z głowy... A z matematyką? Trochę sprytu, dobra ściągawka i matematyka „też z głowy".

● **Dziwolągiem nazywają niektórzy** sytuację, kiedy według § 13 pkt 2 i § 24 pkt 3 nowego regulaminu uczeń z trzema niedostatecznymi może zdawać maturę. Jak to może wyglądać w praktyce? Do matury dopuszczony został z oceną niedostateczną np. z propedeutyki filozofii. Na egzaminie pisemnym otrzymał i z języka polskiego, i z matematyki również oceny niedostateczne i mimo to ma prawo zdawać egzaminy ustne — tyle tylko, że sześć zamiast trzech! Ciekawe...

● **Bardzo niedobrą rzeczą w praktyce** może okazać się obciążenie psychiczne uczniów skazanych na denerwowanie się rezultatami egzaminów w ciągu kilku dni. Przedtem całą ustną maturę uczniowie zdawali w jeden dzień.

● **Rozłożenie egzaminów na raty** sprowadza cały problem matury do rangi zwykłego, roboczego zdawania i zaliczania przedmiotów egzaminacyjnych. Wynika to z przepisu warunkującego podanie wyników egzaminów dopiero po zakończeniu odpytywania z danego przedmiotu.

● **Trudności organizacyjne** przy przeprowadzaniu egzaminów według nowego regulaminu są większe choćby z tej przyczyny, że uczeń może zdawać tylko jeden egzamin w ciągu jednego dnia; że skład komisji egzaminacyjnej jest zmienny.

*

Nowy regulamin wyraźnie faworyzuje dobrych i systematycznych uczniów, zwalniając ich od egzaminów ustnych w wypadku, gdy będą mogli wykazać się dobrymi przynajmniej ocenami w klasach X i XI, **ale poprzednie przepisy również to stosowały z tą tylko różnicą, że przez wszystkie okresy uczeń musiał otrzymać dobre oceny.** Obecnie wystarczają końcowe. W ten sposób może zajść taki wypadek, że uczeń będzie miał tylko jeden egzamin do zdania. A co robić, **jeżeli będzie miał ambicje poprawić ocenę dobrą na bardzo dobrą** z pozostałych przedmiotów? Są to wątpliwości, których regulamin nie załatwia.

Patrząc nawet bez uprzedzenia na reformę egzaminów maturalnych trudno jest oprzeć się wrażeniu, że nowy system ma więcej niedostatków niż zalet. Świadczyłoby to o niezbyt wnikliwym przemyśleniu projektu, oraz o nadmiernym chyba zamiłowaniu Ministerstwa Oświaty do reform i reorganizacji. Niecodzienny jest także sam sposób ogłaszania zarządzeń przez wyżej wzmiankowane ministerstwo. Otóż ni mniej ni więcej, dopiero w miesiąc po doniesieniach prasy — **czyli w marcu — szkoły otrzymały Dziennik Urzędowy Ministerstwa Oświaty, zawierający nowe przepisy w sprawie egzaminów dojrzałości.**

W odczuciu społeczeństwa młodzież zostaje zaskoczona nieoczekiwanymi decyzjami, szkoły otrzymują zarządzenie w ostatniej chwili i stają przed nowymi i trudniejszymi zadaniami — a wszystko to dzieje się na niecałe trzy miesiące przed maturami. Miejmy nadzieję, że po tegorocznych doświadczeniach przynajmniej najbardziej drastyczne braki nowego regulaminu zostaną dokładnie przeanalizowane, a na ich miejsce wejdą nowe, naprawdę życiowe przepisy.

# Vox populi

**Prof. dr JERZY WRÓBLEWSKI**

**Komisja rady narodowej to roboczo wyspecjalizowany społeczny jej organ działający w wyznaczonym zakresie. Rada narodowa obraduje na sesjach zwoływanych kilka razy do roku, podejmuje na nich różnego rodzaju uchwały oraz wyznacza i ocenia podstawowe linie działalności prezydium i jego organów. Sesje rady stanowią formalnie podstawową formę jej aktywności, gdyż tylko na sesjach rada może działać jako całość.**

Natomiast bardziej „na co dzień" pracują komisje, podlegając jednak w całej swej działalności radzie narodowej. Rada powołuje stałe komisje dla określonych sfer działalności, zatwierdza ich regulamin i skład, nakłada na nie określone obowiązki, wykorzystuje ich inicjatywy i wysłuchuje ich sprawozdań. Działalność komisji rady narodowej nie jest tak wyeksponowana jak sesje rady narodowej, choć prasa łódzka w stosunkowo wysokim stopniu informuje opinię publiczną o ich pracy. Praca komisji gra jednak dużą rolę w kształtowaniu oblicza rady narodowej i może wpływać w znacznym stopniu na funkcjonowanie terenowego aparatu administracyjnego.

Pewne dysproporcje między dość lakonicznymi przepisami prawa regulującymi sprawy komisji, dużymi możliwościami wpływu komisji na radę i jej prezydium oraz stosunkowo skąpym materiałem empirycznej wiedzy o ich roli w praktyce wywołały potrzebę analizy komisji jako elementu funkcjonowania systemu rad narodowych. Badania na ten temat zapoczątkowaliśmy przed laty w Łodzi (por. Komisje Rady Narodowej m. Łodzi: podstawy prawne, struktura, skład i działalność. Zeszyty Naukowe UŁ, seria I, nauki humanistyczno-społeczne, prawo, nr 17, 1960), obecnie prowadzimy je nadal w ramach planu prac Instytutu Nauk Prawnych PAN. Warto przy okazji końca kadencji rad narodowych poruszyć kilka dyskusyjnych zagadnień związanych z problemami działania komisji, wykorzystując zebrane materiały oraz dyskusje, jakie toczą się w naszej literaturze prawniczej i społeczno-politycznej na ich temat.

Stanowisko prawne komisji rad narodowych jest ogólnie i szeroko określone przez reguły stanowiące podstawy jej działalności. Przepisy, które określają prawa i obowiązki komisji są zawarte w rozmaitych tekstach, takich jak Konstytucja PRL, ustawa o radach narodowych znowelizowana w r. 1963, inne przepisy ogólne nadające komisjom określone kompetencje, regulamin pracy rady narodowej i wreszcie regulamin pracy komisji.

Ustawowe zadania komisji są bardzo szerokie — od utrzymywania w rozmaitych formach stałej łączności z ludnością terenu, poprzez działalność inicjatorską w stosunku do rady i jej organów, wykonywanie spraw zleconych przez radę i przedłożonych przez jej prezydium oraz czuwanie nad wykonywaniem uchwał i wytycznych, aż po działalność kontrolną wydziałów, instytucji, przedsiębiorstw i zakładów podporządkowanych radzie narodowej oraz kontrolę społeczną różnego rodzaju jednostek radzie niepodporządkowanych. **Ogromny to zakres zadań i w związku z tym nasuwa się pytanie, jakie środki prawne i możliwości faktyczne posiada komisja, by te zadania wykonywać w sposób skuteczny?**

Środki prawne są nader różnorodne. Komisja może zawsze szukać na sesjach rady narodowej poparcia swej działalności. Przepisy prawne nakładają również określone obowiązki współdziałania z komisjami na poszczególne jednostki administracji państwowej, poczynając od prezydium rady narodowej a kończąc na kierownikach wydziałów i innych jednostek. Co więcej, wspomniana wyżej nowelizacja ustawy o radach narodowych wprowadziła instytucję tzw. „wiążących zaleceń i wiążących opinii", skierowanych do kierownika wydziału. Takie zalecenia i opinie tym się różnią od „zwykłych" wniosków, zaleceń i opinii, że ewentualne zastrzeżenia kierownika wydziału muszą być w określonych terminach rozpatrzone przez prezydium rady, a komisja, w wypadku gdyby prezydium podzieliło stanowisko kierownika i nie przekonało komisji, może odwołać się do rady narodowej...

**Wystarczy chyba tych kilka uwag, by uzasadnić twierdzenie, że przepisy obowiązujące dają komisji barazo szerokie prawne możliwości działania.** Dla ich szczegółowego rozpatrzenia trzeba by sięgnąć do odpowiednich przepisów, ale nie o ich analizę tutaj mi chodzi. Chcę się zastanowić nad tym czy i jakie problemy wykorzystania tych możliwości powstają w praktyce działania komisji, która chce się w pełni wywiązać z nałożonych zadań.

Pomińmy tutaj zagadnienia treści politycznej działania komisji, wyznaczonej przez utrzymywanie więzi z ludnością i przez realizację programu politycznego, zajmijmy się natomiast niektórymi zagadnieniami praktyczno-technicznymi stawiając pytanie, czego potrzeba, by komisja mogła w praktyce efektywnie działać.

Wydaje się, że dla efektywnego działania komisji trzeba wielu czynników. Ograniczę się tutaj do trzech: trzeba, by członkowie komisji mieli dość czasu na pracę społeczną w radzie, by posiadali do tego należyte kwalifikacje, i by komisja właściwie oddziaływała na aparat administracyjny.

Spełnienie zadań komisji wymaga dużego nakładu czasu i pracy jej członków. Wprawdzie między komisjami różnego szczebla (np. komisje wojewódzkiej rady narodowej a komisje dzielnicowej rady narodowej) i różnej właściwości (np. komisja finansowo-budżetowa a komisja kultury fizycznej, sportu i turystyki) zachodzą niejednokrotnie poważne różnice, jednak efektywność działalności każdej komisji wymaga zawsze znacznej ilości czasu potrzebnego na posiedzenia komisji, pracę w zespołach kontrolnych, w spotkaniach, naradach itp. Nawet zakładając wysoką sprawność techniczno-organizacyjną samej komisji, nie ulega wątpliwości, że prócz zapału do pracy i zacięcia społecznika, członek komisji musi dysponować wystarczającą ilością wolnego czasu, co nie przy każdej pracy i nie w każdym zawodzie jest możliwe nawet, gdy członek komisji jest zatrudniony w zakładzie optymalnie odnoszącym się do jego pracy w radzie. Dodajmy jeszcze do tego, że w wielu przypadkach praca w komisji nie jest bynajmniej jedyną funkcją społeczną radnego. Dlatego też efektywność pracy komisji jest w praktyce ograniczona ilością czasu, którego przeciętnie komisja może wymagać od swych członków. Czy trzeba dodać, że tego czasu nigdy nie jest zbyt wiele w stosunku do zadań stojących przed komisją?

**Dalej bardzo szeroko dyskutowanym zagadnieniem jest dylemat: „fachowy czy społeczny charakter komisji?"** Wydaje się, że wokół niego narosło wiele nieporozumień. Każdy radny, a więc i radny członek komisji, powinien być „społecznikiem" w najszerszym potocznie używanym tego słowa znaczeniu — jest to teza oczywista. Jednocześnie zaś z reguły radny członek komisji posiada określone fachowe kwalifikacje zawodowe. Wykorzystanie tych kwalifikacji w pracy komisji jest postulatem rozsądnym przy założeniu takiego składu komisji, który będzie grupował ludzi różnych zawodów, by uniknąć tzw. wąsko-specjalistycznego punktu widzenia. Tak np. jest rzeczą pożądaną, by w komisji oświaty znaleźli się profesorowie i nauczyciele i trudno by ich z prac tej komisji wyłączyć ze względu na ich fachowe przygotowanie. Ale jednocześnie w tejże komisji powinni się znajdować nie tylko oni, lecz również i inni radni, którzy stykają się z zagadnieniami oświaty, poczynając od lekarzy a kończąc... na osobach mających dzieci. Analiza składów komisji Rady Narodowej m. Łodzi w ostatniej kadencji wykazuje, że przyjmowane tutaj rozwiązanie jest trafne, i że wyrażane niekiedy obawy przed zbytnim „ufachowieniem" komisji mającym się łączyć z rzekomą utratą ich „społecznego" charakteru dotyczą, przynajmniej na naszym terenie, niebezpieczeństw wyimaginowanych.

Trudno nie podkreślić, że różne formy i zakresy działalności komisji wymagają różnego stopnia kwalifikacji jej składu. W szczególności wspomniana instytucja wiążących zaleceń i opinii, która wykracza poza dotychczasowe stosunki między czynnikiem społecznym i organem administracyjnym, może wymagać stosunkowo wysokiej znajomości zagadnień specjalnych po to, by mogła należycie funkcjonować w praktyce.

**Tak więc można powiedzieć, że komisja, jako organ społeczny, powinna posiadać skład umożliwiający jak najbardziej wszechstronną opinię w każdej sprawie z zakresu jej działania, co zakłada odpowiedni dobór jej członków.** A dobór ten jest, ostatecznie wyznaczony przez to, kogo wybierze się do rady narodowej, a wtórnie zaś przez to, jak rada narodowa ustali przynależność radnych do poszczególnych komisji.

Wreszcie ważnym czynnikiem efektywności pracy komisji jest właściwe oddziaływanie komisji na aparat administracyjny. Przykładem niech będzie kontrolna działalność komisji wobec wydziału prezydium rady narodowej. Komisja może i powinna kontrolować wydział jej odpowiadający badając jego bieżącą działalność z punktu widzenia realizacji przepisów prawnych i uchwał rady narodowej i jej prezydium, winna opiniować i oceniać z tego punktu widzenia jego działalność, może występować w stosunku do niego z różnymi inicjatywami i ewentualnie ujmować je w formie wiążących zaleceń i opinii. Nie chodzi mi tutaj o merytoryczną analizę oddziaływania komisji na wydział, lecz o to, czego to oddziaływanie dotyczy. W praktyce dotyczy ono spraw bardzo różnorodnych — od ogólnej polityki wydziału aż do kontroli drobnych agend, przedsiębiorstw czy instytucji mu podporządkowanych, od formułowania ogólnych wytycznych długofalowego działania aż do szczegółowych, niekiedy konkretnych i indywidualnych, wniosków pokontrolnych.

Teoretycznie rzecz biorąc grożą tutaj dwojakiego rodzaju niebezpieczeństwa: z jednej strony tendencja do sprowadzania działalności komisji do zagadnień polityki wydziału na szczeblu ogólnych rozważań i dyrektyw bez dostatecznego rozeznania w praktycznych zagadnieniach jego funkcjonowania, z drugiej zaś — ograniczenie się do wycinkowych drobiazgowych kontroli, wyłączających właściwie wydział w spełnianiu jego własnych obowiązków, z pominięciem podstawowych zagadnień ogólnych. Istnieje wiele czynników, które popychają komisję w jedną lub drugą stronę, czynników tkwiących zarówno po stronie wydziałów jak i mających swe źródło w składzie komisji i w stylu jej pracy. Nie miejsce tutaj na ich analizę, moim zdaniem jednak, właściwe działanie komisji leży między tym dwoma skrajnościami z modyfikacjami płynącymi ze szczebla rady narodowej, do której komisja należy.

**W związku z efektywnością działania komisji w stosunku do wydziału nasuwa się jeszcze jedno pytanie, które można sformułować w formie paradoksu: „Kto odpowiada za działalność wydziału — kierownik wydziału czy komisja?"**

Paradoks ten bierze się stąd, że prawne możliwości działania komisji pozwalają jej, jak widzieliśmy, na bardzo daleko idącą ingerencję w funkcjonowanie wydziału. Czy nie grozi więc to, co podnoszono w dyskusjach nad zagadnieniami komisji rad narodowych, że wydział może dążyć do zmniejszenia swej odpowiedzialności poprzez zasłanianie się wiążącym stanowiskiem komisji, które zresztą może sam niekiedy inspirować? Czy przez wydawanie wiążących zaleceń i opinii komisja nie spełnia swego rodzaju „funkcji współzarządzającej", dzięki czemu mogłaby tracić swą pozycję czynnika społecznego? Tego typu pytania stawiają na razie teoretycy. Praktyka dotychczasowa — przynajmniej na gruncie Rady Narodowej m. Łodzi i Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi — tych obaw nie potwierdziła, warto jednak wspomnieć o występujących tutaj zagadnieniach, gdyż mogą się spotkać z nimi nowo wybrane komisje rad narodowych.

Prawne określenie możliwych form działania komisji rady narodowej nie przesądza o praktycznej efektywności jej pracy, choć stanowi konieczną jej przesłankę. O stanowisku bowiem, jakie zajmuje komisja w funkcjonowaniu konkretnej rady narodowej, decyduje ostatecznie to, jak rozwiązuje ona stojące przed nią zadania — od tego czy potrafi skutecznie uczestniczyć w rozwiązywaniu swego wycinka problemów terenu. Wypracowanie mocnej pozycji komisji, pozycji odpowiadającej jej obowiązkom i prawom, zależy od tego czy odpowiednio dobrany skład komisji będzie mógł działać wystarczająco intensywnie w rozwiązywaniu zadań, które przed nim stoją.

# GENERATION X

**Moralizowanie na temat młodzieży, która jeszcze nie przekroczyła granicy wieku 25 lat, rozmyślanie nad tym dlaczego ona jest inna — stało się i w Anglii narodowym hobby. A jaką ona jest naprawdę? Wydana ostatnio przez Charlesa Hambletta i Jane Deverson książka pt. „Generation X" („Pokolenie X") ukazuje nam oblicze angielskiej części młodzieży.**

**Jak większość pokoleń, „Generation X" ( takiego terminu używają publicyści) — wykazuje zasługujący na uwagę brak zaufania do starszego pokolenia, a także i do siebie.**

*„Starsi, ci godni naśladowania, nie pomagają nam, nie dają żadnych podniet, które mogłyby nas do nich zbliżyć. Musimy to zmienić albo umrzeć" — mówi poeta. Widzimy zamarłe życie w twarzach naszych przywódców politycznych, duchownych, mędrców i sędziów. Wszystko jest licha warte. My młodzi widzimy to, wiemy w czym tkwi zło, ale myślimy o tym jedynie do chwili, kiedy sami nie zostaniemy do tego wciągnięci. Tak, to jest błędne koło, bowiem starsi nie dadzą nam ani chleba, ani wolności jeżeli nie ustąpimy.*

*Czasami naprawdę nienawidzę tych ludzi, czasem z wielkim smutkiem myślę o starości, ponieważ jest taka samotna. Żal mi tych ludzi, którzy mieszkają w slumsach, ludzi pokonanych przez życie. Przeraża mnie to, że miliony mieszkańców Azji i Afryki umierają z głodu.*

*Czy mogę temu zaradzić? Chodzę na zabawy, na randki. W ten sposób łatwiej się zapomina".*

Obecnie w W. Brytanii o tej młodzieży mówi się, że ignoruje ona wszelkie tradycyjne zasady moralne. Chęć przestrzegania ogólnie panującej mody stwarza często kłopotliwe sytuacje. Zwłaszcza, jeżeli dotyczy to sprawy płci. A oto wypowiedź kilkunastoletniej dziewczyny.

*„Moja matka przestrzega mnie, żebym nie oddała się chłopakowi. Twierdzi, że on przestanie mnie szanować i że potem będę przechodziła z rąk do rąk, aż wreszcie wszystko skończy się tym, że zostanę prostytutką bo nikt nie będzie chciał się ze mną ożenić, a ci z którymi spałam będą się ze mnie śmiali za moimi plecami i będą o mnie opowiadać różne, niezbyt przyjemne rzeczy.*

*Oczywiście, ona ma rację. Ale przecież Sheila, moja koleżanka ze szkoły sypia ze swoim chłopakiem i wszyscy o tym wiedzą. A nawet jest w tym coś tajemniczego. Wydaje mi się, że czegoś mi brakuje i że tak długo nie będę prawdziwą kobietą póki nie prześpię się z chłopakiem. Naturalnie, należy starannie wybierać. Bardzo ważne jest z kim się będzie miało swoją pierwszą przygodę, a także i to z kim potem będzie się chodziło. Bo przecież koledzy i koleżanki z paczki wszystkiemu się bacznie przyglądają."*

Bezwzględność mężczyzn w podbojach seksualnych nie jest czymś nowym dla „Generation X". Mówi o tym nigdzie nie pracujący chłopak, który mieszka z matką w środkowej części Anglii.

*„Często wyjeżdżam z kolegą i wtedy przeważnie podrywamy jakieś dziewczyny i pozwalamy im by za nas płaciły. Mówimy że jesteśmy sprzedawcami i że zazwyczaj mamy dużo pieniędzy, a teraz czekamy aż nam przyślą. Pijemy, chodzimy na tańce a potem zostawiamy je.*

*Często wstaję około godz. 11, a potem idę spotkać się z kumplami. Latem chodzę pływać. Nie mam pojęcia dokąd zmierza świat i wcale nie chcę o tym wiedzieć. Nikt nigdy nie zadał sobie trudu, żeby mnie czegoś nauczyć. To o czym nam mówiono w szkole było takie nudne, że nikt z nas długo nie miał ochoty tego wysłuchiwać. Nauczyciele też czekali na to co i my — żeby już był dzwonek i żeby jak najprędzej wybiec ze szkoły. Oni są naprawdę okropni i nie nadają się do żadnej pożytecznej pracy.*

*W tygodniu mam dwie albo trzy dziewczyny. Nie traktuję ich poważnie, bo nie mam zamiaru się żenić: za duże obowiązki. Znajduję dziewczyny, które chcą się ze mną przespać, a potem się już z nimi nie spotykam. Jeżeli trafi się dziewczyna namiętna to mogę nawet i dwa razy. Jak spotykam ją na ulicy wtedy mówię „cześć" i to wszystko. Jeżeli jaka zajdzie w ciążę to i tak się z nią nie ożenię. Przecież nie będę się żenił z dwiema osobami, no nie?"*

A teraz wypowiedź chłopca mieszkającego w Londynie.

*„Moim zdaniem starzy są strasznie śmieszni i fałszywi. Ja jestem ordynarny w stosunku do mojej matki, a ojca lekceważę, bo to mu się należy. On jest pijakiem i nie znam go dobrze. A czasem wydaje mi się, że nigdy go nie widziałem.*

*Lubię słuchać kiedy mama opowiada jak było dawniej. Albo jak mówi o tym, co jej się podoba w małżeństwie. Albo o młodzieży z tego okresu kiedy była jeszcze panną. A najbardziej lubię jak mówi o wojnie.*

*Spotykam się z dziewczyną, która chodzi do średniej szkoły plastycznej. Opiekuję się nią i wiem, że jestem za nią odpowiedzialny. Ona jest bardzo młoda. Łatwo mógłbym ją uwieść ale nie chcę. Bo wtedy by się we mnie zakochała, a ja tego nie chcę. Co innego dziewczyny, które już dają sobie radę, a Susie — nie. Ona jeszcze nie zna życia i dlatego traktuję ją jak siostrę. Jestem z niej dumny.*

*W tej samej szkole uczy się chłopak, za którym dziewczyny szaleją. On jest naprawdę bardzo przystojny. Ja jestem zupełnie normalny, ale czasami jakoś dziwnie się czuję. Lubię kobiety, lubię z nimi spać, bo to jest strasznie miłe. Jednak czasem mam ochotę dotknąć tego pięknego chłopaka i dotykam go. Robimy to zupełnie po prostu, ale to jest coś więcej niż przyjacielski uścisk. Muszę przyznać, że sprawia mi to olbrzymią przyjemność. Znałem kilku chłopaków, których miałem chęć objąć, tak, po przyjacielsku — i stwierdzam, że było mi bardzo miło. Ale nie chciałbym żeby to dziwne uczucie tkwiło we mnie zawsze."*

Wiele dziewcząt ze środowiska ary stokratycznego uważa za słuszny taki pogląd:

*„Mam kilku kolegów. Mama nie pozwala mi mieć jednego. Ja się z nią zgadzam. To jest dużo przyjemniejsze i lepiej jest znać wielu, bo potem łatwiej można sobie wybrać.*

*Byłam bardzo szczęśliwa. Poznałam wielu niezwykłych ludzi. W pewnym wieku mężczyźni są okropni, a zwłaszcza ci 19-letni, którzy przyjeżdżają do nas z Oxfordu na tańce. Oni są potwornie młodzi i tacy głupi. Chcą tylko, żeby z nimi spać. A jeśli któraś się nie zgadza to zrywają znajomość.*

*Jeżeli chodzi o sprawy seksualne uważam, że należy z tym zaczekać do chwili zawarcia małżeństwa, albo co najmniej do zaręczyn i to dopiero po kilku latach. Wcale się nie gorszę, kiedy słyszę, że niektóre moje koleżanki to już robią."*

Większość przedstawicieli „Generation X" wypowiada się przeciwko instytucji Kościoła...

*„Religia dla wielu nastolatków jest bajką wymyśloną przez starych ludzi. Niektórzy myślą o Bogu ale Biblia i Kościół są tak odległe od naszego życia, że nie można tego traktować poważnie. Kościół nie ma sensu — jest to miejsce starych bab śmierdzących kotami i pekińczykami. I sama ceremonia nabożeństwa jest nudna. Wszystko co ich otacza jest zaprzeczeniem religii. Również samo „oczekiwanie" na wiarę w Boga jest śmieszne. Religia to pokarm dla starych ludzi, którzy już przestali żyć, ale w dalszym ciągu marzą o tym by coś w ich dotychczasowym życiu zmieniło się na lepsze. A młodzi chcą szukać, zdobywać i znajdować.*

*Sam rytuał przy odprawianiu mszy jest przezabawny. Dopiero telewizja otworzyła nam oczy ukazując tę pantomimę. Jedni ludzie padają na kolana przed gipsowymi posągami Dziewicy Maryi, podczas kiedy inni przemawiają do palmowych drzew. To duża zabawa."*

# ZŁOTO!

**Długą serię nieszczęść spowodowanych nieposkromioną żądzą złota rozpoczyna Krezus. Pisze o nim starożytny historyk Herodot. Krezus był królem Lidii, państwa w Azji Mniejszej. Swych bajecznych bogactw nie był nawet w stanie oszacować. Pewnego razu złożył w darze słynnej świątyni w Delfach 3500 kilogramów złota. W jakiś czas później bogactwo, żądza władzy i pycha pchnęły go do wojny z Persją. W wielkiej bitwie został pokonany przez króla Persów Cyrusa i państwo Lidii przestało istnieć. Nieprzeliczone bogactwa Krezusa zagarnął Cyrus.**

Dwieście lat później Aleksander Macedoński rozbija w puch państwo perskie, Płonie Persepolis. Zwycięskie wojska grabią i mordują mieszkańców stolicy. Opuszczając martwe miasto Aleksander wiedzie z sobą ogromny tabor — 20 tysięcy mułów i 5 tysięcy wielbłądów. Niosą one na grzbietach nieprzebrane skarby Persji: milion kilogramów złota i srebra w sztabach, bezcenną biżuterię i przedmioty sztuki, 250 tysięcy złotych monet i niezliczone ilości monet srebrnych. Był to najbardziej bajeczny skarb wszystkich czasów!

Tak oto po dwustu latach złoto Krezusa wróciło do Greków.

Z biegiem czasu skarby te zalewają Macedonię i Grecję, płyną do Egiptu, do Azji Mniejszej. Kilka wieków później, różnymi drogami, zaczynają spływać znów w jedno miejsce — do Rzymu. Później, z kolei z imperium rzymskiego, które trwoni swe bogactwa, wracają na Wschód. Europa nie ma złota — szuka go w alchemii. I tylko jedno miejsce na kuli ziemskiej nie przestaje błyszczeć złotem — Bizancjum.

Złoto całego świata płynie szeroką falą do ostatniej stolicy tego cesarstwa: złoto faraonów, złoto Krezusa, Dariusza, Nerona, złoto z Afryki, z legendarnego Ophiru, o którym wspominał już król Dawid. Ale pada z kolei i przebogate Bizancjum.

**3 listopada 1521 roku hiszpański konkwistador Fernando Cortez podbija legendarne państwo Azteków — Meksyk i znajduje tam bezcenne bogactwa w biżuterii, szlachetnych kamieniach i dziełach sztuki złotniczej. Nieco później Pizarro „odkrywa" bogactwa Peru. Odtąd złoto, przetapiane w sztaby, nieprzerwanym strumieniem płynie z Ameryki do Hiszpanii. W przeciągu stu lat przebyło Atlantyk i rzeką Guadalquivir dotarło do Sevilli 350 tysięcy kilogramów czystego złota.**

Wiele galionów ciężko wyładowanych złotem zagarnęli piraci. Jeden z owych galionów, „San Philipe", będący osobistą własnością króla Hiszpanii, wpadł w ręce słynnego angielskiego korsarza sir Francisa Drake, który z wielką pieczołowitością doprowadził go do brytyjskiego portu Plymouth. Na pokładzie znajdowało się 400 tysięcy złotych dukatów hiszpańskich, bitych na miejscu, w Meksyku. Warto na marginesie wspomnieć, iż wspomniany sir Francis Drake pracował na rachunek ówczesnej królowej Elżbiety i cały korsarski połów przekazywał do skarbu państwa...

Europa nie wytrzymała tej powodzi złota. Zatopiona w milionach brzęczących sztuk złota i srebra uległa nieprzewidzianej katastrofie: nadmiar pieniędzy spowodował piorunującą inflację. A ozłocona Hiszpania? Hiszpania, podobnie jak Rzym, nie umiejąc strzec swego bogactwa, stała się wkrótce jednym z najbiedniejszych narodów i najbardziej słabych państw na europejskim kontynencie.

**Luty 1848 rok. Otwiera się nowa, wspaniała, lecz i wyjątkowo krwawa karta w historii ludzkości.**

Pewnego wczesnego popołudnia Johann August Suter pisze list do przyjaciela, zamieszkałego w Lucernie. Opisuje w nim, jak gnany wizją Kalifornii opuszcza rodzinną Szwajcarię, jak po latach tułaczki i nędzy ląduje na wybrzeżu zatoki San Francisco, jak z kilkoma tubylcami z Honolulu kupuje ogromny szmat ziemi w widłach rzek Sacramento i American. Jego tereny są bardziej rozległe, niż kanton Bale. Ma niewielką armię ludzi do walki z Indianami, ma przedsiębiorstwa, liczne stada.

**„Jestem — pisał — najbogatszym człowiekiem na św...."**

W tym miejscu musiał przerwać, bo oto bez pukania wpadł do pokoju jeden z jego robotników James Marshall: „Mam panu do powiedzenia coś bardzo ważnego — wyrzucił z siebie. — Nikt nie powinien tego usłyszeć!" Ryglują więc drzwi, zasłaniają okna. Marshall wyjmuje z kieszeni chustkę, odwija ją i oto Suter widzi na niej kawałek metalu o żółtawym połysku. Nie ma najmniejszej wątpliwości — to jest złoto! Marshall znalazł je na górze, w Coloma, powyżej osady Sutera, gdzie reperował młyn uszkodzony podczas nawałnicy.

Jedno nieszczęsne uderzenie oskarda kosztuje Sutera całą jego bajeczną fortunę. Nowina rozchodzi się lotem błyskawicy. Zewsząd zaczynają płynąć tłumy poszukiwaczy złota, tratują wzdłuż i wszerz kwitnące ziemie Sutera, bezprawnie zagarniają jego działki, ryją grunt łopatami. Przy końcu roku 1848 było ich tu 4 tysiące, a w roku 1849 już ponad 100 tysięcy. Ogarnięci gorączką złota, pracownicy Sutera opuszczają go jeden po drugim. Żołnierze wysyłani do zaprowadzenia porządku dezerterują, a marynarze uciekają ze statków. Fabryki Johanna Sutera przestają pracować, a jego piękne stada wydane na łup pijanych awanturników toplenią z dnia na dzień. Wraz z postępującą ruiną majątku Sutera, wzrasta wydobycie kruszcu. W roku 1853 wydarto ziemi rekordową ilość złota — 90 tysięcy kilogramów.

Suter próbuje rewindykować swoją własność, żąda swojej części złota. Lecz jest sam, a na dodatek walą się na niego tragedie rodzinne — umiera mu żona, jednego z synów zabija rozjuszony awanturnik, drugi popełnia samobójstwo, trzeci ucieka z przeklętej Ameryki. Suter rozpoczyna nie kończący się proces z władzami miasta San Francisco, które założono na jego ziemiach. Uprzykrza się sędziom w Waszyngtonie, cytując im całe ustępy z Apokalipsy. Wreszcie dostaje pomieszania zmysłów.

Pewnego dnia, jakiś starzec w łachmanach, otoczony tłumem szydzących wyrostków, ciężko kroczy jedną z ulic San Francisco. Udaje się w daleką drogę do Kongresu w Waszyngtonie. Nie uszedł jednak daleko — pada na bruk rażony atakiem serca. W kilka dni później po wyjściu ze szpitala, spotyka na ulicy jakiegoś szaleńca, który miota się w objęciach sanitariuszy i krzyczy, krzyczy na cały głos: „Złoto! Tam jest wszędzie złoto!" Mija go obojętnie, lecz nagle zawraca: **W króciutkim błysku powracającej świadomości poznaje w nim Jamesa Marshalla, człowieka, który pierwszy odkrył złoto w Coloma...**

Suter umarł w nędzy lecz Kalifornia, która w roku 1848 liczyła niespełna 20 tysięcy mieszkańców, jest dziś jednym z najbogatszych stanów USA.

**Żądza złota zaraziła świat. Poszukiwacze złota odkrywają coraz to nowe pokłady tego cennego kruszcu: w Australii w r. 1851, w Afryce Płd. w 1886 r., na Alasce w r. 1896.**

Rok 1896. Ostatnie wielkie pielgrzymki po złote runo. Tym razem do Klondyke, pod koło podbiegunowe, 200 tysięcy ludzi z całego świata udaje się w tę długą i niebezpieczną drogę. Zaledwie 50 tysięcy osiąga cel i buduje pod biegunem osadę poszukiwaczy złota — Dawson City. Podczas tej strasznej zimy nastał wielki głód. Ta na skalę zamarznięta ziemia nie jest gościnna i zazdrośnie strzeże swych bogactw. Jednakże poszukiwania złota nie ustają ani na chwilę. Podczas strasznych, polarnych nocy ludzie palą ogromne ogniska, żeby nie umrzeć z chłodu i żeby rozgrzać zmarzniętą ziemię. Odmrożone kończyny, bez pomocy lekarza, odcina się rozżarzoną do czerwoności siekierą. Żeby nie tracić czasu na kucie grobów w zmarzniętej ziemi, nie grzebie się zwłok, lecz kładzie na dachach domów, w oczekiwaniu aż ziemia odtaje.

Trzy lata później złoto się skończyło i ludne niegdyś Dawson City stało się martwym miastem.

**Afryka Południowa — 2/3 światowego wydobycia złota.**

**Stolica — Johannesburg. Miasto leży na potężnej żyle kruszcu, długości 400 kilometrów.** Aby wytopić 400 ton czystego złota (jest to sześcian o boku długości 3 m) trzeba wydobyć i przerobić 75 milionów ton minerału. Jest to masa rudy o objętości kilkakrotnie większej od piramidy Cheopsa.

Wszystkie kopalnie złota w Afryce Południowej mają na miejscu własne rafinerie złota, które pracują jeden dzień w tygodniu. Zatrudnia się tam tylko białych, Afrykanom nie wolno tam pracować. Wytopiony już metal oczyszcza się w 92 proc., jednakże jest to jeszcze produkt niedoskonały. Dopiero po usunięciu dalszych 6 proc. nieczystości, już w centralnej rafinerii, sztabki złota, które stamtąd wychodzą są „czystym" złotem.

W kopalniach złota w Afryce Południowej pracuje 380 tys. Afrykanów, pochodzących przede wszystkim z Rodezji i Mozambiku. Podpisują kontrakty na jeden rok. Największą trudność sprawia im nauczenie się języka fanakalo. Jest bardzo prymitywny ale niezbędny, gdyż Afrykanie mówią ponad 80 różnymi dialektami i bez fanakalo kopalnie w Południowej Afryce byłyby prawdziwą Wieżą Babel.

**Pięć krajów: Afryka Południowa, Kanada, Stany Zjednoczone, Australia i Związek Radziecki wydobywają łącznie 90 proc. światowego wydobycia złota. Pozostałe 10 proc. wydobywają tzw. „biedne kopalnie" oraz poszukiwacze złota, którzy wciąż noszą w sercu nadzieję na wykrycie fantastycznej żyły złota...**

Tych fanatyków żółtego minerału można jeszcze spotkać 17 lutego każdego roku w mieście Wickenbourg, w stanie Arizona, właśnie tam, gdzie galopował niegdyś Buffalo Bill. Jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie są pewni, iż znajdą piękne, błyszczące bryłki złota. Samorząd miasta Wickenbourg, w tym dniu święta poszukiwaczy złota, rozsiewa w okolicach miasta, zmieszane z piaskiem, bryłki złota. Żeby tradycji stało się zadość, obywatele miasta wykonują dokładnie te same czynności, które niegdyś wykonywali ich przodkowie szukając złotego piasku. Od pierwszego wejrzenia można rozpoznać autentycznych poszukiwaczy złota, gdyż ruchy, które wykonują przy przesiewaniu piasku są trudne do naśladowania. Cała sztuka polega bowiem na umiejętnym wypłukiwaniu wilgotnego piasku z misy, tak, żeby na dnie pozostały cięższe od niego bryłki złota. Dla miasta jest to biznes, albowiem wynajęcie metalowego talerza do tej zabawy kosztuje całego dolara... (st)

*W południowoafrykańskiej kopalni złota*

Nie wszyscy jednak buntują się przeciwko religii i społeczeństwu. Mówi osiemnastoletni uczeń:

*„Moi rodzice byli konserwatystami i ja biorę z nich przykład. Zawsze byłem przekonany, że konserwatyści są najlepszą partią. Teraz też tak myślę.*

*Jestem b. religijny. W każdą niedzielę chodzę do kościoła. Kiedy będę starszy wtedy wszystko dla mnie będzie zrozumiałe, a na razie jeszcze poszukuję w ciemności.*

*Wraz ze śmiercią rodziców musiałem z wielu rzeczy w życiu zrezygnować, a wszystko to co teraz otrzymuję pochodzi od Boga dzięki temu, że wierzę, i że się modlę. Jestem pewien, że istnieje życie pozagrobowe i mam nadzieję, że po śmierci spotkam moich rodziców. Wierzę we wszystko co mówi Kościół.*

*Jeżeli całe życie chodzi się do kościoła trudno jest nie wierzyć co zresztą jest zupełnie naturalne. Zazwyczaj przyjmuję rzeczy i zdarzenia, akceptuję je, a dopiero potem rozmyślam nad nimi."*

19-letni chłopiec z Potteries, to przedstawiciel tej części młodzieży, która potrafi korzystać z życia, nie wstydzi się swojego pochodzenia ani swojej rodziny...

*„Miałem wspaniałe dzieciństwo. Było nas trzmaścioro i w domu było zawsze pełno szumu i gwaru. Byliśmy szczęśliwi chociaż nigdy nie było takiego dnia żeby nam nie brakowało pieniędzy.*

*Wprawdzie byłem najmłodszy; ale to nie dawało mi żadnego prawa do tego, aby być uprzywilejowanym. Przez ostatnie siedem lat swojego życia ojciec chorował i nie mógł pracować. Miałem 13 lat kiedy umarł, a matka musiała ciężko pracować żeby nas wyżywić. Jestem z niej dumny i zrobię dla niej wszystko co będę mógł. Pracuję jako bukmacher, ale sam nigdy nie uprawiam hazardu. Jestem zadowolony z mojej pracy chociaż zabiera mi ona około 13 godzin dziennie. Wcale nie tęsknię do ojca, ale chciałbym żeby żył i by zobaczył jaki teraz jestem. Sądzę, że byłby ze mnie zadowolony i to sprawiłoby mi ogromną radość.*

*Szczęśliwe dzieciństwo to wielka rzecz. Potem człowiek nie jest taki zgorzkniały, chociaż czasem miewa się różne kłopoty. Prowadzę b. aktywny tryb życia, ale nie wydaję dużo pieniędzy. Całą pensję oddaję matce.*

*Chodzę do jazz-clubu, biorę udział w amatorskim kółku wokalnym. Nigdy się nie nudzę. Przecież w życiu jest tyle do zrobienia. Mówi się, że Potteries jest dziurą, ale chyba właśnie dlatego należy ożywić nasze miasteczko, bo przecież nic samo się nie zrobi.*

*Nie potrafię zrozumieć ludzi, którzy ciągle narzekają. Bo jeżeli oni się nudzą to chyba nie powinni byli się urodzić. A ja zostanę tutaj, bo tu jest mój dom. To prawda, ja jestem sentymentalistą.."*

Wydaje się, że sentymentaliści stanowią mniejszość wśród młodzieży. A oto ostatnia wypowiedź tym razem młodego Cockney'a.

*„Robimy to na co mamy ochotę i co daje nam zadowolenie. Nie liczymy się z opinią innych. Niech myślą co chcą. Trzymamy się z daleka od wszelkich kłopotów społeczeństwa. Nie chcemy by się nami interesowano, a to że ostatnio ludzie cierpią na brak czasu bardzo nam odpowiada.*

*Im się wydaje, że sprawiają nam przyjemność, kiedy dają nam broń i wysyłają do Jemenu albo na Cypr.*

*Ja nigdy długo nad jedną rzeczą się nie męczę. Nie, my nie wariujemy na punkcie „Beatlesów" albo takich jak oni. Jednak lubię ich, bo są zupełnie inni niż ci gwiazdorzy z Hollywoodu i chyba dlatego oni są tacy popularni wśród naszych chłopaków. To prawda, oni są bogaci i sławni, ale nie dbają o to. A my nie wariujemy na ich punkcie. Po prostu za niczym nie wariujemy."*

*(wg. „Observera")*

# LIST z powiatu

**MÓJ DROGI! Ostatnio dość często z różnych okazji spotykałem się z jednym znajomkiem nazywanym tu szumnie mechanizatorem rolnictwa. Rozmowy te, przyznam, były dość jednostronne, to znaczy ja głównie wysłuchiwałem jego utyskiwań. Bierze się to głównie myślę przez to, że nikt nie chce być posądzony o samozadowolenie lub spoczęcie na laurach i woli psioczyć na wszystko co dotąd zrobiono — nawet gdyby sam rękę do tego dołożył.**

**Pozwól jednak, że zdobędę się tym razem także na trochę malkontenctwa.**

**Byłem świadkiem na jednym z wiejskich spotkań, jak wstał pewien starszy chłop i rozglądając się wśród aprobujących potakiwań, zapytał: „Co najpierw gospodarz robi: kupuje krowę czy stawia oborę?" Ożywiłem się wyczekując na reakcje innej figury od mechanizacji. Chodziło oczywiście o brak garaży, szop na ciągniki i maszyny rolnicze. Chociaż dla mnie ta „obora" była pojęciem szerszym — wyrzutem, że zaniedbano cały szereg ważnych spraw: organizacyjnych, kadrowych, inwestycyjnych. Sądziłem więc, że przedstawiciel powiatu zostanie zapędzony w kozi róg tą chłopską filozofią, ale nic takiego się nie stało. „Mamy już ponad dwieście traktorów — odpalił a gdybyśmy czekali dla każdego na tę oborę... znaczy się garaż, nie dociągnęlibyśmy na pewno setki. I wielu z was musiałoby wydeptywać kilometry za pługiem".**

**Jak ocenić taką postawę? Ile w niej łatwizny, a ile słuszności ze społecznego punktu widzenia — aby rozruszać tę chłopską inicjatywę. Ale jakie koszty tej „imprezy"? Za naukę się płaci, odpowiesz. Zgoda. Ale to już nie jest myślenie w naszych techniczno-ekonomicznych kategoriach. Bo posłuchaj: brak traktorzystów (z zatrudnionych większość świeżo upieczonych absolwentów 4-miesięcznych kursów odbywających się w zimie, a więc bez praktycznego pojęcia o pracy w polu) dyspozytorzy z dobrymi raczej chęciami w miejsce kwalifikacji i często z gospodarstwami na głowie. Dalej: brak warsztatów naprawczych (dziesiątki kilometrów z głupią usterką do POM) nieliczne garaże, sprzęt w przysłowiowych pokrzywach... Mimo to w zeszłym roku kółka rolnicze naszego powiatu wypracowały przeszło milion złotych zysku. Dziw bierze jak to się dzieje? Trzeba mieć cholernie dużo szacunku dla tego, głównie społecznego, trudu.**

**Przebiedowaliśmy jakoś tamten okres. Rosną już filie POM w rejonach koncentracji, warsztaty KR, wszędzie już spotkasz szopy, wiaty, garaże z elementów prefabrykowanych, zmienił się na lepsze system szkolenia traktorzystów (kursy 2-miesięczne z poprzedzającą je praktyką zawodową w KR). Jedno nas tylko nadal niepokoi. Sprawa dyspozytora w Kółku. To musi być figura we wsi, człowiek, który posiada z a w ó d, a więc odpowiednie przygotowanie techniczne, jakieś pojęcie o organizacji pracy... Absolwentów zawodowych szkół mechanizacji mamy na lekarstwo. Naszym zdaniem problem rozwiązałyby szkoły przyzakładowe przy POM i ZNMR, które to powinny rosnąć jak grzyby po deszczu. Bo to i nakłady niewielkie i absolwenci od razu, bez wstępnego stażu, gotowi do pracy. A jest ich dopiero trzy w województwie.**

**To ważna sprawa, mój drogi, nasze niektóre kółka to prawie przedsiębiorstwa a więc organizmy wymagające sprawnego, fachowego kierownictwa, którym na ogół możemy pochwalić się w innych gałęziach naszej gospodarki. Zaryzykowałbym twierdzenie, że istnieje jakiś „kres społecznej działalności", a więc punkt po którym dorywcze, społeczne działanie nie może dać rezultatów a tylko zniechęcenie wobec przerastających zadań. Ale tu krąg się nie zamyka, bo chodzi nam o kierowników tych kółkowych „przedsiębiorstw" z prawdziwego zdarzenia.**

**Na razie musimy być jednak cierpliwi nie zapominając o niepokojeniu naszych władz.**

**TWÓJ JEZ**

LEON GOMOLICKI

# BAL

## *Fragment powieści pt. „Owoc z grynszpanem"*

Dziadek obchodził dwór — stajnie, obory, chlewy, za siatką kury z gdakaniem rzucały się na żółte proso. Wszystko robiło się samo. Nikt nie zwracał uwagi na d o c z e p i o n e g o rządcę. Albo udawał u w a g ę. Ale przy kuchni, na ławce siedzieli chłopi — chorzy, którzy przyszli po leki. Z trudem rozumiał, o co im chodziło, domyślając się dawał terpentyny i gorzkiej soli czy chininy, nic innego nie było wtedy w domowych apteczkach. Zaczęło się od tego, że przywieziono starego dziada z sąsiedniej wsi, którego synowa zmusiła do rąbania drzewa i który obciął sobie siekierą palec. Ręka była omotana brudną szmatą. Dziadek zasypał ranę jodoformem i obandażował. Stąd poszła fama, że w majątku nowy barin leczy. Chorych przychodziło coraz więcej. Z każdym się porozmawiało. Chociaż w ten sposób ziszczały się jakieś kontakty. Coś jeszcze znaczył. I właśnie kiedy szedł w kierunku chłopów, przybiegł zadyszany k a n t o r s z c z i k: kurier z miasta, od pana przewodniczącego. Był podniecony, że wreszcie donosy poskutkowały. A dziadek? Dziadek nagle zobaczył z całą wyrazistością tamten dzień. Skrzypiał śnieg, prężny, naelektryzowany. Z ust buchała para pełna drobnych iskierek, krystalizująca się na mrozie. Wąsy i broda pokryte włochatym szronem, nawet brwi i rzęsy białe, na policzkach ostry piasek zamarzniętych łez. Przestrzeń dziwna, głucha, znieczulona. Pewnie dlatego i żogi takie — dziadek bardziej uświadamiał sobie, niż czuł, że idzie. Ale wysłuchał, pozornie spokojny, wiadomość, zawrócił i poszedł tam, gdzie czekał kurier, przed biurem. Przyjechał konno, a teraz stał przytupując nogami, z głową okutaną baszłykiem. Zobaczywszy dziadka rozpiął kożuch (górne haczyki zarzucone na pęcherki) i wyjął z piersi, spod serca, zawiniątko, rozwinął okazując ciekawym oczom gapiącej się służby stary, skórzany pugilares, w którym była schowana ta wąska koperta. Adresowana na dziadka, więc — jakiś jednak wyrok. A wszystko odbyło się publicznie. Więc musiało mieć swoje trwanie i koniec, mimo zwlekania, przeciągania (jeśli chodzi o dziadka — zamierzonego).

Dziadek miał odmrożone, czerwone palce, które smarował gęsim smalcem, lecz w zimie to się odnawiało — obrzęki i ból. Teraz jednak musiał zdjąć rękawice, robione przez żonę na drutach, o jednym palcu (po rosyjsku w a r i e ż k i), z czerwonej wełny, podarowane mu jeszcze ich pierwszej zimy. Obracał kopertę, niezdecydowany, gdy kurier, spełniwszy swoją misję, zarzucił na siodło nogę, wsunął szpice butów w strzemiona, ubódł konia obcasami i pogalopował ku bramie. Dziadek spojrzał — dokoła wrogie twarze, wyczekujące. Nie mógł otworzyć przy nich. Schował do kieszeni, nie od razu, bo otwór kieszeni się wymykał i koperta ślizgała się po kożuchu. Naciągnął rękawice. C o, s k o n c z y ł o s i ę p a n o w a n i e! — to głośna uwaga Sinobrodego, który też tu niespodziewanie się znalazł. Za plecami śmiech, dyskretne charczenie i kaszel. Żona już wie o wszystkim, spłoszona, spotyka w drzwiach. Lecz dziadek opanowany, choć blady: czekaj no, nie czytałem jeszcze. I wtedy dopiero, zrzuciwszy kożuch (warieżki spadają na podłogę i małe szczenię ciągnie jedną pod stół), wtedy dziadek, ślinią palce z umysłną wciąż zwłoką, zachowując bohaterską przytomność, rozrywa kopertę, wyjmuje sztywny biletcik. Co takiego? P r z e w o d n i c z ą c y — m a z a s z c z y t — JWP z M a ł ż o n k ą — n a b a l —

Przewodniczący Uprawy Ziemskiej, Klub Ziemian — to jakby rozkaz. W każdym razie łaska, odrzucenie której byłoby grubiaństwem, niezręcznością nie do naprawienia. Potem tamci, na wyższym szczeblu drabiny jakubowej, co zauważyli, z pogardą umyją ręce. Trzeba jechać. Pokonując strach, lata samotnego dziczenia, obsesję ludzi małych, deptanych nawet bez uświadomienia, że się coś tam depcze, jak próg. Z dołów życia na jakieś zwrotne wyżyny połyskujących dystynkcji, pałacowych wnętrz, francuszczyzny, od której się odwykło. Skąd wziąć wizytowe stroje, balową suknię chociażby!

Pan Cyprian radził sprowadzić z miasteczka krawca, który pracuje tam w jednej osobie pod szyldem: monsieur et madame Michel. Przywieźli saniami. Mały, szczupły, lecz pełen powagi, kapłan wiedzy krawieckiej, wprowadzony w arkana mody. Siwiejąca bródka, wysoki kołnierzyk usztywniający nie tylko szyję, lecz i kręgosłup, iżawiące oczy za zaciemnionymi szkłami ćwikierów. Wysłuchawszy ze smutną uwagą, zadecydował: k r y n o l i n a. No tak, na całym świecie cywilizowanym panuje w tej chwili krynolina. Okazało się później, że na to potrzebne są niezliczone metry drogiego jedwabiu i co najważniejsze, bez czego wszystko na nic: o b r ę c z e z f i s z b i n u. Ale fiszbinu nie było nawet w Penzie. Wtedy musjumadam Michel znalazł radę: wszyje się drewniane obręcze z bali. Wprawdzie materiał cięższy, sztywniejszy, lecz też i o wiele tańszy.

Szerokość krynoliny u dołu równała się średniemu wzrostowi kobiety, natomiast obwód w talii — jak u owada. Noszono więc sztywne, ciasne gorsety. Tamujące oddech. Na tej o s i e j n i t e c z c e osadzony był olbrzymi kosz, abażur z pofałdowanych taśm, utrudniający ruchy, uniemożliwiający spoczynek w pozycji siedzącej, wzbraniający zbliżenia się do ludzi, do ściany, przejścia przez normalne drzwi. Strój ten wymagał wstępnych ćwiczeń. Toteż najnieszczęśliwszą tu była babka. Miała oczywiście, i inne powody do obaw, złych przeczuć: znów była w ciąży. Musjumadam Michel rozpaczał: co robić z gorsetem! Bez gorsetu proporcje krynolinowe są zagrożone. Potem się wyjaśniło: taka krynolina — ze sztywnymi obręczami — nie mieści się w saniach czy innym pojeździe i przyjdzie jechać bez krynoliny, a na miejscu się przebrać!

Były jednak i takie komplikacje, których nie dało się przewidzieć, które ujawniły się dopiero na przyjęciu w klubie.

Wiem od matki, że Klub Zgromadzenia Ziemian w Penzie mieścił się w okazałym — jak na tamte czasy — gmachu. Gospodarz witał gości na wyłożonych dywanem, szerokich schodach, potem każdy szedł u c a ł o w a ć r e l i k w i e (przyłożysia k moszczam), czyli przywitać panią gubernatorową. W inkrustowanej, wypolerowanej, niemal lustrzanej powierzchni parkietów odbijały się filary i błyski kryształowych żyrandoli. Tu trzeba było poruszać się ostrożnie jak na ślizgawce. Wojskowa orkiestra stroiła instrumenty. Wchodziło się jak do kościoła. Dziadek, opancerzony przez nadmiar krochmalu, ukrywając obawę, niepewność, prowadził onieśmieloną żonę. Miała wypieki. To był jej pierwszy występ w ś w i e c i e, którego nie znała, który dotąd był niedostępny dla niej. Groźny jej opiekun mógł zaledwie stać przed wejściem na ulicy, gdy ona wstępowała w t o n i e b o! Musiała chłonąć to, niesiona przez dumę. Aż naraz — niespodzianka. Niespodzianka! raczej niespodziewany, cios, druzgocący, hańbiący do końca życia! Informacje musjumadamy Michela widać były starej daty: nawet na tej ponurej prowincji nastąpiła krańcowa zmiana. Zamiast pływających po lustrzanej powierzchni krynolinowych abażurów — wysmukłe, wydłużone słupy damskich sylwetek. Jeszcze nieznane babce z nazwy — t u r n i u r y.

No tak! Wydać ostatnie oszczędności na tę wstrętną, rozdętą kiecę! Tyle mąk, przymiarek, łez, obaw. I właśnie obawy się spełniły. Zaledwie kilka podobnych, smętnych staropanieńskich postaci, kryjących się wstydliwie po kątach, za filarami. Cóż pozostało! Albo natychmiast stąd zniknąć, wycofać się, wrócić na swoje właściwe miejsce — na wieś, albo czując się wystraszoną kwoką, która zabłądziła w tej sali, ukryć się też w cieniu palmy w kącie, w fałdach kotar.

Tak też wyobraźnia pokazuje mi tę parę. Dziadka opiętego jak żółw pancerzem nakrochmalonej bielizny, usztywnionego gorsu, w wypożyczonym, przyciasnym, jak ze spiżu odlanym fraku, czerwonego więc z wysiłku i napięcia, a obok — jego zgaszoną małżonkę, w osamotnionej, bo nie zauważanej przez męża, rozpaczy. Do tego jacyś elegancy dowcipnisie, zatrzymawszy się obok, z premedytacją zaczęli nacierać ściskając z dwóch stron krynolinę babki i drewniane obręcze w niej ukryte podnosiły się i opadały, a podnosząc się odsłaniały koronkowe, długie — jak wiedy noszono — dessous. Babka, wystraszona, ciągnęła męża: chodź, chcę już do domu. On też chciał tego, tylko żeby to się stało możliwie bez jego udziału. Na przykład, rozwiera się ta śliska, połyskująca podłoga i oni się zapadają lub stają się cudownym sposobem niewidzialni. Tym bardziej, że kątem oka zobaczył — w ogólnym zamieszaniu, kiedy gości przybyło i zaczęto już tańczyć — znajomą sylwetkę pana Władka, który przechadzał się oddając ukłony, nieuchronnie zbliżając się do nich. Tylko tego spotkania brakowało! Dziadek czuł jeszcze zadrę, której nikt nigdy chyba nie usunie — zadrę ich ostatniej rozmowy: wyrzuty, ten pręgierz! Wciągnął głowę wypinając tym ruchem kołnierz fraka, uciekając oczami, mrużąc je jak przed nieuniknionym zderzeniem, bo pan Władek już ich zauważył, już zachodził drogę, ale zamiast złośliwego syczenia czy splunięcia — pewnie tego spodziewał się dziadek — szeroko rozrzucone ręce w białych rękawiczkach, gwałtowne zgięcie tułowia i cmoknięcia, chłodzące, wilgotne.

— Stasieńku! No, pokaż się! Jakżeż mi miło! Ucieszyłeś! — to z uściskami, potrząsaniem dłoni z towarzyszącym znajomym brzękiem bransoletki. — A przecież czułem, miałem przeczucie, że spotka mnie tu coś bardzo miłego. Może tylko dlatego się przywlokłem, bo wiesz, ostatnio ta melancholia! Jestem samotny, porzucony, wyobraź sobie! Wszystko tomber en ruine. A ty, widzę — No, zapoznaj mnie prędzej, c'est la famme, domyślam się, quelle charmeuse des coeurs!

Dziadek, wciąż jeszcze bierny, poddający się napastowaniom, krzykom, ale w zasadzie uspokojony, bełkotał tłumacząc się bez potrzeby — coś o zaproszeniu, o konieczności, o podstępach Sinobrodego.

— Czekaj, czekaj — wołał Władek, przekrzykując trąby orkiestry — musimy poszukać przytulniejszego kącika — i zataszczywszy małżeństwo do bufetu, ulokował przy bocznym stoliku. — Mój drogi — wyjaśniał teraz kelnerowi — wymyśl coś takiego, żeby, rozumiesz, i pokrzepiało, i budziło iluzje, słowem karafka i jakiś symbol rozkoszy w postaci chyba jesiotrzynki. — I już w półobrocie do dziadka: — No, no, słucham, mów dalej. Powiadasz intrygi, trudności, a tu zaszczyt. Masz rację, słusznie komentujesz wypadki: to pozycja, z której nie wolno już zejść, nie spodziewałem się po tobie, że trafisz tak wysoko. — I nagle, coś w myślach zmumowawszy, zmieniając ton, przysunąwszy twarz, poufnie, z naciskiem: — To pozycja! A coś tu dochodziło, jakieś niedobre odgłosy, plotuszki, czekaj, mówiono o tobie, jak o nowym Rinaldo Rinaldinim. Niczego nie podejmuję się oceniać, stwierdzam fakt i przewiduję. Bo cóż: pozycja, ale sprawa przecież nie prywatna. Pozycja, ale w takich pozycjach zainteresowani jesteśmy wszyscy. To nasza wspólna pozycja. Widzę, że rozumiesz, może jeszcze nie do końca rozumiesz, lecz niedługo —

Dziadek pod wpływem tych wszystkich niezwykłości, oszałamiających, a do tego wychyliwszy już parę kieliszków, poczuł wstępne przyćmienie świadomości. A przy tym zamiast uległości zaczął w nim wzrastać samorodny, ociężały, rogaty upór. Coś w rodzaju zaprzeczenia na przekór uniesieniom Władka, pozbycia się wszelkiej radości — masochistyczne samopogrążenie. Bo i tak jest zbyt słaby, i tak to raczej stypa, nie zwycięstwo.

Władek nie tyle słuchał, ile coś kombinował, przypatrując się dziadkowi. Nasilał się gwar. W przerwie między mazurkiem a walcem do bufetu wdarła się grupa oficerów, pobrzękujących ostrogami.

Był tam rotmistrz znany już dziadkowi, byli prawdopodobnie i inni, również znani, ale ponieważ twarzy poznawanych w tym samym, krótkim czasie było dużo, więc mieszały się, nie rozpoznawane, mimo że uśmiechnięte porozumiewawczo. Pan Władek pociągnął kogoś z nich do stolika i stolik obstąpiono, podsuwano krzesła, zjawiły się butelki. Wszyscy, wszystko dokoła przyjazne, szukające sprzysiężenia. Poklepywania, które dziadek znosił dzielnie, niektóre ciężkie jak ciosy. Zapewnienia. Kieliszki, z których pili z Władkiem, rotmistrz zrzucił ze stolika na podłogę. Podano szklanki. Dziadek chciał swoją odsunąć i przewrócił na obrus. To był już początek, ostrzeżenie, którego nie potraktował poważnie. Władek położył na kałuży serwetkę, rotmistrz postawił szklankę i nalał ponownie. Oblewano solidarność i z każdym trzeba było się tracić i całować trzykrotnie w mokre wąsy, kłujące policzki. Potem już bez związku. Jedynie — nudności. Krzesło się przechyliło do tyłu, więc pamiętał: strach i nudności. Próba niefortunna — podnieść się i to chyba wtedy znalazł się w objęciach rotmistrza. Zadrasnął do krwi policzek o coś ostrego — szpilkę czy order na mundurze. Skończyło się znów mokrym pocałunkiem, ktoś podsunął szklankę do ust. Ale — nudności i dziadek, szamocząc się, szukając równowagi, wstał, ale wszystko wirowało i — nudności. Przepłynęła wystraszona twarz żony (nigdy go takim jeszcze nie widziała). I znów nudności, a potem ktoś lekko uniósł go w górę i rzucił na dno sani. Konie się poderwały, świeże powietrze biło w oczy, rzeźwiące, i zrobiło się lżej mimo huśtającego, wirującego lotu. Jedynie gwiazdy świeciły przytwierdzone do pustki, reszta falowała w tej nieustającej huśtawce, potwornej, aż nastąpiło znieczulenie, które dziadek przyjął jako sen. Który nie był jednak zupełnym snem, bo gdzieś obok przyczaiły się gotowe każdej chwili znów napłynąć nudności. Jedyne, co wskazywało, że stan ten był w jakimś stopniu i snem, to jego inność, odmieniająca, udziwniająca każde zjawisko, które z daleka docierało do świadomości.

Dziadek leżał na dnie łodzi, wiszącej w bieli mglistego powietrza. Od czasu do czasu obok przepływały cienie czarnych masztów pochylonych do siebie, połączonych u góry linami, tuż bił w niebo brzeg żagli, karuzela się obracała i cienie się powtarzały te same, a żagle były strzępem zwisającym z płóciennego jej dachu, a może i brzegiem dachy, narzuconej na plecy wysokiego Rinaldo Rinaldiniego, który stał w saniach, trzymając w obu rękach napięte lejce. Organy karuzeli dźwięczały potęgowane skrzypieniem płozów po śniegu, a w te wiolonczelowe tony wplątywały się różnobarwne dzwoneczki, sypały się zalewając wesołym brzękiem. Inne sanie, ścigając, wymijały z krzykiem, a potem w nagłej ciszy rozlegał się żałobny śpiew pod Tatarę: Upokoj Hospodi duszu raba twojeho o-okajan-noho i wsieja jewo o-pri-iczy-ny. I ostatnie, co dziadek pamiętał z tej drogi: Rinaldini wstrzymując konie obejrzał się, nachylając twarz pana Władka. Kto był kim: Rinaldini Władkiem, czy Władek Rinaldinim? Bo to chyba niezupełnie to samo — —

Do majątku przyjechali nad ranem. Postawiono cały dwór na nogi. Szczekanie, krzyki, rżenie koni, światła błądzące po oknach. Krakanie spłoszonych wron i strzały. — Panowie, panowie — dowodził rotmistrz — tylko planowo, na naradę, prosimy na naradę. Dziadek już całkiem trzeźwy, ale blady, czując przykrą maskę bladości i niepewność w ruchach, a więc i przesadnie skupiony, poprowadził do pałacu bironowskiego. Był nierad nieproszonej brewerii. Babka przyjechała bez krynoliny, okutana w czyjąś dachę. Przebrana teraz, przerażona, coś szykowała dla gości. Rotmistrz zażądał, aby otworzono piętro. Nastąpiła scena pochodu — w milczeniu: na schodach jeszcze mrocznо i stary sługa (tenże Artiom?) idzie pierwszy, świecąc kandelabrem, ale na górze, w pokojach, w krainie przysypanych kurzem pokrowców, zwisających z sufitów nietoperzy owiniętych płótnem żyrandoli — już fioletowo zażółcony świt. Przed oknem dyspozycja: rotmistrz pokazywał sytuację cybuchem długiej fajki, którą znalazł po drodze, zdjął ze ściany, otarł połą munduru i ssał pustą, nie nabitą tytoniem. Za oknem zaś — na niebie i śniegu jakieś odbłyski, jak na powierzchni miedzianej blachy, ale ponure, a na ich tle matowa biel, barwiona przez tę miedź na niebiesko, w koronkowych splotach szronu okrywającego konary. I ciemną, zamazaną plamą na dole, obłożony śnieżną watą domek eks-rządcy. Wszystko mimo tanich efektów, oleodrukowych kontrastów, było ponure i oświetlało twarze przyglądających się na ponuro. Rotmistrz wyjął z wąsów ośliniony cybuch i z tego co mówił, dziadek usłyszał urywane słowa: w obchod, nie ujdut, choroszaja widimost' — — Dopiero uświadomił sobie ich zamiary, okrucieństwo. Odciągnął na bok Władka.

— Nie chcę, żeby tu coś zaszło, trzeba coś — nie wiem co — może ich spić?

Stali w głębi pokoju, w myślącym, dwoistym oświetleniu. Władek miał potargane bokobrody i błyszczące, spocone czoło. Słuchał, ale chyba nie słyszał, kierowany uwagą wciąż tam, ku stojącym przy oknie. Potem ścisnął dziadka za łokieć, jakby oprzytomniawszy — więc dotarło wreszcie.

— -Nie chciałbym, żeby tu coś złego zaszło — powtarzał dziadek teraz już do zwróconych na niego oczu Władka, które zrobiły się oleiste, powleczone bezczelną poufałością. Aż znikły, otwierając niedobry uśmiech w układzie powiek,

— Nie chciałbyś, przyjacielu, a to kawał! Mówisz, że nie chciałbyś, a któż dał początek? Sam rzuciłeś kamyk, a nie wiesz, skąd lawina! Sprobuj teraz powstrzymać. Na mnie nie licz. Ja mam w tym swoję wyrachowanie. A nawet — swoje, nie swoje — n a s z e!

Zajął się wsuwaniem żelaznej bransoletki w rękaw. A gdy dziadek tonem rozpaczliwego uporu wciąż powtarzał: nie chcę, bo kto wie, do czego są zdolni, Władek spojrzał już całkiem inaczej, przytomnie, z chłodnym zdziwieniem:

— Nie wiesz, do czego są zdolni? Mój kochany, dopiero przed paroma dniami, tu, w twoim sąsiedztwie, spili egzekutora, bo właśnie nie cierpią żadnych kancelistów, cywilusów, gryzipiórków — to nienawiść klasowa — spili, oćwiczyli i wyrzucili w samej bieliźnie na drogę. Nie zamarzł na śmierć chyba tylko dlatego, że był pijany, no i wkrótce znaleźli go pejzani, którzy jechali na odpust. Albo urządzają w jakimś dworku misteria eleuzyjskie, wiesz, rozbierają pijanych w szłok rezydentów, kładą na stole jak nieboszczyków, a nagim dziwkom każą siać nad nimi z gromnicami. Zabawa godna troglodyty. I to wszystko całkiem dla nich bezkarnie!

Do okrutnej obojętności czy wyrachowanego okrucieństwa w rysach Władka, kiedy to klarował, dołączył się wyraz odrazy, nienawiści.

— Tu też coś uknuli, z pewnością, jakiś podobny szablonik, gotowy wzór gry towarzyskiej. Już im nie przeszkodzisz. I nie należy, mój młodzieńcze. Macchiavelli powiedziałby — Ale jest i inna formuła: kiedy wrogowie nawzajem się niszczą podzieleni, nie ma wygodniejszej sytuacji. Bądźmy lepiej świadkami w cudzym domu. Spodziewam się —

Stało się jednak niezupełnie tak, jak się spodziewał.

Zeszli na dół. Rozwidniało się powoli, potem nagle błysnęło przez zamarznięte szyby słońce. Na górze były bardziej obłożone niż na dole, gdzie palono w piecach. Oczywiście, sutę śniadanie, przy którym znów pito, śpiewano i krzyczano bez ładu. W końcu wyszli. Strzały. W różnych częściach parku. Wycie ugodzonego psa. Władek powstrzymał dziadka, który już narzucił kożuch. Babka schowała się za kredensem, w kącie. Fiekłusza utknęła przy drzwiach, żegnając się przy każdym strzale. I tu jednak musiał być jakiś kontrast: smuga słońca na wypastowanej podłodze lub refleks na blaszanej, wesołej powierzchni samowara.

Zajrzał rotmistrz czy ktoś z nich, oszroniony, buchający parą, z rewolwerem w zwisającej ręce:

— Gdzie podchorąży, nie tu? Czort! Chałupa pusta, zbiegli i zdaje się chłopaka nam uprowadzili. Trzeba podrządcę wziąć na spytki.

Jak się okazało, Sinobrody, spłoszony tym całym harmiderem, a pewnie też uprzedzony przez swoich zauszników ze służby dworskiej czy rezydentów, uciekł porzuciwszy gniazdko jeszcze ciepłe. Uciekł z całą rodziną, zdążywszy niewiele co zabrać z rzeczy. Tamci łazili po opuszczonych pokojach, wściekli jak nieboszczyki, którym zwierzyna umknęła spod nóg. A do tego zaginął młodziutki podchorąży, różowolicy, z oczami wyrwanego ze snu Endymiona. Powystrzelawszy naboje, ładując wszystko w porcelanę wystawioną w kredensie i rozwieszoną na ścianach talerze — niezły cel — znaleźli i wywlekli na podwórze rachmistrza. Był w bieliźnie, bosy, bez okularów, dygotał i krztusił się, dostał czkawki z zimna i strachu. Sami jeszcze nie wiedzieli, co z nim zrobią.

W pałacyku dowiadywano się o wypadkach stopniowo, z opóźnieniem. Coraz to ktoś przynosił nową wiadomość. Głównie syn kucharki, kozaczek, który wpadał zadyszany: już weszli! Potem: strzelają, wszystkich pomordowali! Wreszcie: rachmistrza wyprowadzili, nagusieńki, cały zsiniał, nie kłamię! Omijając dziadka, siedzącego na krześle przy wielkim stole z nie sprzątniętymi talerzami, Władek zaczynał podśpiewywać po francusku, że George Dandin sam tego chciał, ale zaraz urywał, gubił słowa i tylko pogwizdywał. Dziadek siedział obezwładniony, jakby nic do niego nie docierało, lecz usłyszawszy o rachmistrzu, zerwał się — i tym razem nikt go nie zatrzymał.

— Niepotrzebnie go tam poniosło — Władek przystanął znużony, zdegustowany — nie mogła pani dobrodziejka wpłynąć! — Ociągając się narzucił w drzwiach swoją dachę.

Ale wszyscy już wracali. Niedosyceni, cały swój niedosyt składając na dziadka, który im przeszkodził. Rachmistrza puszczono (potem przeleżał tydzień w gorączce). Wracali podeksytowani, wzburzeni, głośno rozprawiając o podchorążym. Wypełnili pałacyk odgłosami kroków, wołaniem.

— Robimy pogoń! — krzyczał rotmistrz. — Po śladach. W pień, w pień powycinam!

— Ale gdzie ślady, droga wyjeżdżona, czort wie, w którą stronę.

— Bzdura! My jedziemy w jedną, wy w przeciwną. Po śladach! W pień, w pień!

Tu na górze, nad sufitem, coś załomotało i rozległo się wycie.

— Matko święta — przeżegnała się Fiekłusza. — To pani nieboszczka chodzi.

Rotmistrz rzucił się z rewolwerem do drzwi i na piętro.

— Nie strzelaj, może to Mitia! — krzyknął ktoś też już na schodach.

I rzeczywiście: kiedy wszyscy stali na piętrze, przy oknie, naradzając się, podchorąży, zamroczony winem, położył się na osłoniętej pokrowcem kanapie i zmorzył go sen. Tak przespał historię. Obudziwszy się, spadł na podłogę i nie wiedząc, gdzie jest i co z nim, zaczął krzyczeć. Siedział jeszcze nieprzytomny, nie poznając kolegów. Ktoś przykucnął obok i wycierał mu twarz chustką, ktoś ciągnął, pomagał wstać, ktoś pocieszał i już prowadzili po schodach w dół. I wszystko się wreszcie rozładowało. Odjechali. Zostało spustoszenie. Dziadek krążył po tym pobojowisku, poruszając brwiami, podminowany, nastroszony, aż nagle zakrzyknął na kozaczka: A usuń się ty spod nóg, niech cię, sobaka!

Jeszcze nie rozumiał znaczenia tego, co zaszło.

*Gyula Hincz: Przebudzone miasto*

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

# Pieśni MIMO WOLNE

**Kiedy myślę o Leśmianie, widzę prastary Zamość, w którym wielki poeta był małym rejentem, małym nie tylko w sensie fizycznym, bo większość zamościan nic nie wiedziała o wielkim poecie, a czasem nazbyt wiele o małym rejencie. W pięknym tym grodzie krążyło o nim wiele anegdot, wyśmiewających jego słabostki i poetycką bezradność w sprawach życiowych. Zapamiętałem parę takich złośliwych anegdot.**

Pewnego pięknego dnia letniego Leśmian przechadzał się z jednym ze swoich przyjaciół po parku zamojskim. Wtem minęła ich urodziwa, bardzo wysoka i mocno zbudowana niewiasta. Niski i siwy jak skrzat polny, albo jak jeden z jego „ludzieńków", poeta obejrzał się za nią i z żarem powiedział do przyjaciela:

— Ja bym ją zgwałcił!

Inną anegdotę opowiadano na dowód jego nieporadności życiowej. Któregoś dnia miał ponoć sporządzić jakiś akt notarialny dla starego, siwego chłopa. Gdy chłop wziął pióro do ręki, żeby akt ten podpisać, rejent-poeta, zwątpiwszy nagle, czy klient ma prawo podpisu, zażądał przedstawienia dowodu osobistego, żeby przekonać się o jego pełnoletności?

Wśród znajomych Leśmiana krążyły także złośliwe historyjki o jego jakoby wielkiej żarłoczności. Dowcipkowano, że przystoi to raczej jego przyjacielowi, wysokiemu brzuchaczowi Francowi Fiszerowi, sławnemu Sokratesowi międzywojennego dwudziestolecia. Muszę powiedzieć, że i ja byłem świadkiem jego „wielkiego apetytu". W roku 1936 zaproszono mnie z żoną na przyjęcie do ambasady radzieckiej, która mieściła się wówczas w Warszawie przy ul. Poznańskiej, w związku z przejazdem przez Warszawę z Paryża znakomitego prozaika radzieckiego, Ławreniowa. Spotkanie to połączone było z niezwykle wystawną kolacją i brali w nim udział m. in. tacy pisarze, jak Kaden-Bandrowski, Boy, Leśmian, Broniewski Krzywicka, Edward Szymański. Leśmian rzucił się na kawior i na znakomite ryby rosyjskie z taką żarłocznością, że dziw brał, gdzie to wszystko się mieści w małym żołądku małego człowieczka, który był jednym z największych poetów polskich. Byłem świadkiem, jak podszedł do niego Kaden-Bandrowski i zaczął sarkastycznie kpić z jego niepohamowanego apetytu.

Nie znałem wtedy Leśmiana osobiście, więc przyglądałem się świetnemu poecie jak rarogowi.

Zanim zawarłem znajomość z Leśmianem, wiele o nim słyszałem z ust mojego przyjaciela, dwadzieścia lat temu zmarłego poety — kwadrygaanta, Stanisława Ciesielczuka. Ciesielczuk który znał Leśmiana jeszcze z czasów rejentowania poety w Hrubieszowie, był oczarowany nim nie tylko jako poetą, ale i jako człowiekiem. Mówił mi, że „coś" w nim jest, zwłaszcza w głosie i oczach. Kiedy wydałem tomik poezji „Spacer nad Wisłą", powiedział mi Ciesielczuk, że Leśmian tomik ten kupił i że podoba mu się w nim mieszanie elementów realnych z nierealnymi. Miał tylko podobno jedno „ale". Widział w tym moim tomiku za mało cierpienia i wróżył mi przyszłość poetycką jedynie w tym wypadku, jeśli nacierpię się do syta, jeśli coś mną wstrząśnie do głębi mojej istoty.

Niemało mnie zdziwiło to apostolstwo cierpiętnictwa niemalże chrześcijańskiego głoszone przez bardzo pogańskiego moim zdaniem, poetę.

W latach trzydziestych Ciesielczuk mieszkał na Starym Mieście przy ul. Freta. Któregoś letniego wieczoru odwiedziłem go. W mieszkaniu nie było elektryczności. Siedzieliśmy więc przy świecy i rozmawialiśmy o poezji. W świetle świecy twarz Stanisława miała coś z bohaterów ubóstwianego przez niego Dostojewskiego. Właśnie tu, przy chwiejnym płomyku świecy opowiadał mi o kawale jaki zrobił Bolesławowi Leśmianowi. Stanisław umówił się z Leśmianem w ówczesnej kawiarni warszawskiej „Ipsie". Czekając na wielkiego poetę, który krył się ze swoim pochodzeniem żydowskim, Stanisław umyślnie zatopił się w lekturze „Naszego Przeglądu", gazety żydowskiej, wydawanej w języku polskim. Gdy Leśmian nadszedł i ujrzał przesłaniająca twarz Stanisława płachtę „Naszego Przeglądu" podziała ona na Leśmiana jak czerwona płachta na byka. Był wyraźnie zmieszany i zagniewany. Rozumiem o co chodziło Stanisławowi. Uwielbiał Leśmiana jako człowieka i poetę, ale nie znosił żadnej blagi i snobizmu, nie mógł więc Leśmianowi wybaczyć, że wstydzi się swojego pochodzenia. Stanisław w każdym człowieku szukał prawdy, a w prawdzie — człowieka.

O tym, że Leśmian jest wielkim poetą, wiedziało w Zamościu tylko paru jego przyjaciół, m. in. jeden z najserdeczniejszych, zmarły kilka lat temu w Łodzi polonista poeta i tłumacz Heinego, Adam Szczerbowski.

O niepopularności Leśmiana jako poety w Zamościu świadczy fakt, że w bibliotece miejskiej nie było jego książek. Kiedy poprosiłem o poezję Leśmiana, bibliotekarka odparła mi, że nie sprowadzono ich jeszcze i dała mi na osłodę „Ptakom niebieskim" Staffa.

Z poezją Leśmiana zapoznałem się dopiero w roku 1927. Przeczytawszy „Łąkę", byłem oszołomiony niefałszowaną jej świeżością i zielenią, a jednocześnie zdumiewało mnie to, że niektóre moje wiersze, pisane przed zapoznaniem się z poezją Leśmiana jakoś z nią współgrały i były pisane, jak gdyby pod jej wpływem. Być może wpływ ten przesączał się do moich wierszy poprzez poezję Tuwima, którego wiele wierszy nosi piętno leśmianowskie.

Jak już wspomniałem, Leśmianowi bardzo spodobał się mój tomik „Spacer nad Wisłą", ośmieliło mnie to więc do złożenia wizyty poecie. Parokrotnie na święta przyjeżdżaliśmy z żoną do jej matki, mieszkającej w Zamościu. To była właśnie znakomita okazja do zadzierzgnięcia znajomości z Leśmianem. Zanim odważyłem się na zatelefonowanie do niego, długo błąkałem się po Zamościu, rodzinnym mieście mojej żony, pod jego, jakby zrodzonymi z jakiegoś pięknego snu podcieniami, po jego rynku z pięknym zegarem ratuszowym, którego wskazówki wskazywały szacowną przeszłość tego pradawnego grodu. Z rozczuleniem przystanąłem przed tablicą z nazwiskiem Szymona Szymonowicza i sam nie wiem czemu, kiedy ujrzałem tę tablicę, ośmieliłem się zatelefonować do współczesnego wielkiego poety. Być może dlatego, że gwałtownie uświadomiłem sobie przemijanie czasu, przez który wszyscy będziemy pochłonięci, a więc i nasza epoka i Leśmian.

Zatelefonowałem i wkrótce stanąłem w przedpokoju, serdecznie witany przez zadziwiająco niskiego i chudego człowieczka. Miał w sobie coś ptasiego, ale takiemu porównaniu przeczyły jego głęboko ludzkie oczy i dźwięczny głos. Rzekłbym, że te oczy i głos miały w sobie więcej wagi niż oczy i głos niejednego wysokiego człowieka. Było w nim „coś", o czym mówił mi już Ciesielczuk.

Pokój poety pełen był książek i płyt z poważną muzyką. Rozmawialiśmy o poezji i poetach. Podczas rozmowy tej przekonałem się, że obok naszych wielkich klasyków najbardziej lubił, a nawet uwielbiał lirykę rosyjską, przede wszystkim wiersze Tiutczewa i Feta, poza tym Błoka i Jesienina. Tiutczewa i Feta cenił z racji ich muzyczności i podobnie jak Lew Tołstoj stawiał ich nawet wyżej od Puszkina. Głosem drżącym ze wzruszenia zarecytował mi wiersz Feta pt. „W łunnom sijanii". Z żarem dowodził, że nie ma poezji bez muzyczności wiersza. Poezja dla niego była pieśnią przez duże P. Był bardzo oczytany we wszelkiego rodzaju poetykach, a mówił o słowie tak pięknie jak pisał.

Rozmawialiśmy również o przekładach poetyckich z rosyjskiego i nie wiem czemu usiłował mnie skłonić do przełożenia na polski ulubionego swego wiersza Lermontowa pt. „Testament" który po latach pięknie przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski:

**A jeśli ktoś zapyta o mnie**
**Ktokolwiek w pewnej chwili,**
**Powiedz, żem ranny był na wojnie,**
**Że pierś mi przestrzelili.**
**Żem życie swe carowi złożył,**
**Że u nas kiepscy są doktorzy**
**I że swym stronom bliskim**
**Przesyłam ukłon niski.**

Podczas tej rozmowy o przekładach poetyckich przypomniało mi się, jak ktoś opowiadał mi o stalowanym u Leśmiana przekładzie z Szewczenki. Było w tym przekładzie tyle leśmianowskich neologizmów, że duch Szewczenki całkiem z tego wiersza wyparował pod naporem ducha Leśmiana. Redakcja tomu przekładów z Szewczenki, oczywiście przekładu tego nie zakwalifikowała do druku.

Powiedziałem Leśmianowi, że w antologii poezji rosyjskiej, wydanej przed pierwszą wojną światową znalazłem jego wiersz pełen rosyjskich neologizmów, rdzennie leśmianowskich. Zapytałem go, czy to był przekład jego wiersza na rosyjski i kto go przełożył.

— Nie, to nie był przekład — odparł mi Leśmian. — To był wiersz napisany przeze mnie po rosyjsku. W swoim czasie napisałem sporo wierszy w języku rosyjskim. Zapyta pan jak powstały? Otóż założyłem się z poetą rosyjskim, pochodzenia polskiego, Władysławem Chodasiewiczem, że napiszę cały cykl dobrych wierszy po rosyjsku. Chodasiewicz zaś miał napisać cykl wierszy w języku polskim. W ten sposób powstały moje wiersze rosyjskie i kilka polskich wierszy Chodasiewicza.

Jeśli chodzi o współczesnych mu poetów, Leśmian najbardziej lubił poezję Tuwima.

— To jest prawdziwy poeta! — mówił z żarem w oczach. — Natomiast Słonimski nie jest żadnym poetą.

Jako wielbiciel poezji Słonimskiego usiłowałem go bronić. Ale Leśmian z niebywałą niechęcią tłumaczył mi, czemu nie lubi poezji Słonimskiego:

— To jest zimny parnasista, a na domiar złego pisuje wiersze aktualne, w których nie ma ani krzty poezji.

W ten sposób Leśmian zaprzeczał poglądowi Goethego, że każda dobra poezja jest aktualna.

Zresztą niechęć Leśmiana do Słonimskiego tłumaczyłem sobie tym, że Słonimski w jednej z kronik tygodniowych zakpił sobie z jakiegoś wiersza Leśmiana.

Tyle mniej więcej pamiętam o rozmowach z Leśmianem. Kiedy dziś z nieustannym zachwytem czytam jego wiersze i patrzę na jego fotografię, wracają do mnie tamte młode czasy wraca przedwojenny Zamość i postacie matki i brata mojej żony, zamordowanych przez hitlerowców.

Leśmian całe życie śpiewał pieśni mimowolne i takie chyba są najlepsze. Takie, co dopadają poecie do gardła i każą mu — „śpiewaj!"

HALINA ZIELIŃSKA

## Jedno imię róży

**Oto jestem**
**z ciszą zatrzaśniętą w dłoni**
**ocalona**
**z szeptu spopielałych warg**

**moja śmierć tam**
**gdzie się wypala śmierć róży**

**oto jestem —**
**została dla mnie**
**żywa grudka głogu**

**ja**
**róża**
**ocalamy się z siebie**
**by odnaleźć w ciszy**
**skrzydlatą swobodę rąk**

**umieramy**
**z jednego imienia**
**tylko dlatego**
**by ktoś wyłuskał**
**z serca**
**z płatków**
**żywą grudkę**
**mógł się powtarzać**
**w każdym płatku róży**

**jeśli spłonie ona**
**i ja spłonę**

**wtedy**
**umierająca z jednego imienia**
**powtórzy**

**będziesz już poza mną**
**lecz ze mnie**
**więc uwierz nim spłoniesz**
**nie boga ukrzyżowano**
**lecz różę**
**więc ratuj mnie**
**bo nikt nie stworzy świata**
**z garstki popiołu**
**ratuj mnie**
**a ocalisz siebie**
**i znów**
**będziesz mogła powiedzieć**
**oto jestem**

**styczeń 1965**

*Tymon Niesiołowski: Akt*

STANISŁAW KASZYŃSKI

# Pochwała „Pstrąga"

**Kiedy stawia się taki oto tytuł, to z góry wiadomo, że pójdą w ruch wszelkie przyjazne przymiotniki — co najmniej w superlatywie. I nawet zwykła przekora, aby nie ulegać spontanicznym odruchom, nie zda się na wiele. Bez trudu odnajduję uzasadnienie tej postawy: w moim stosunku do tego teatrzyku zawiera się mnóstwo akcentów osobistych, które zdążyły w ciągu lat dziesięciu okrzepnąć w trwałe i serdeczne związki.**

Dla nas, cośmy obserwowali żywot tej r y b y, inteligentnej, odważnej, wrażliwej, każda premiera przynosiła nową sumę doświadczeń i doznań, wyrzucanych z pluskiem, a raczej z wściekłą bryzą (żeby pozostać w granicach wodnej metaforyki). Myślałem o tym na ostatnim jubileuszowym przedstawieniu „Klucza niebieskiego" Leszka Kołakowskiego. W czasie owego wieczoru w małej sałce przy ul. Wólczańskiej — ileż sal już było! — odrywałem się raz po raz od słów, które padały ze sceny, porównując ich sens, ich tonację ze słowami, które dawno przebrzmiały. Bo to, co czas pochłonął, było żarliwym buntem. Buntem młodych, zadziornych, czupurnych, który dynamizuje wszystkie zmysły i wolę, i dając upust gwałtownemu zniecierpliwieniu, odkształca się gorzkim lub szyderczym śmiechem. Rzeczy i zjawiska, które ongiś celnie atakowali „Pstragowcy", miały formę tak pokraczną, tak szarą barwę, że trzeba było nazywać je wprost, po imieniu. Ale rejestracja nie sprowadzała się do banalnego opisu, towarzyszyła jej drapieżna diagnostyka — w piosence, obrazku, skeczu, black-oucie. Na miejsce odrzuconych wartości przywoływano inne, na tyle wszakże wieloznaczne, że przybierały z reguły odcień sarkastyczny lub zamieniały się zgoła w zuchwałe znaki zapytania. „Pstrąg" mnożył je, deklinował je we wszystkich przypadkach, liczbach i rodzajach, zasypywał nimi z uporem najbliższe otoczenie, ho, ho — świat cały, aż wreszcie poczuł znużenie albo bezsilność. Być może, że zdobył tylko przekonanie, iż nie ma właściwie niedyskretnych pytań, istnieją raczej diablo drastyczne odpowiedzi.

Ten wieczór, który sprowokował te wspominki i odsyłacze, obejmował również dziesiątki pytajników, misternie wplecionych w fabułę filozoficznej powiastki, pytajników do tego stopnia zrelatywizowanych, że wystarczyło samo zawieszenie głosu aktora, wyciszony gest, filuterny krok, aby wyprowadzić z sytuacji pełne zadumy milczenie. Bo też to wielosłowie, skrzące się w pysznych meandrach zdań, odbrzmiewające gromkimi przerywnikami śmiechu i komentarzy widowni, jest po prostu inną, bardziej złożoną odmianą milczenia. Jakże zestarzał się czy też zmądrzał nasz „Pstrąg", skoro uprzytamnia sobie, nam, że nihil novi sub Iove, że wszystko już było, jak mawiał przewidujący Ben Akiba.

Czy to znaczy, iż ten traktat filozoficzny z jego przewrotnym wnioskowaniem należy przyjąć za nieunikniony punkt w rozwoju intelektualnym i artystycznym teatru? Zdaję sobie sprawę, że zbyt dociekliwie opukuję genezę tej adaptacji, przygotowanej z doskonałym wyczuciem atmosfery (a i sceny) przez Juliana Brysza i Leszka Skrzydło.

Myślę, że sporo momentów zachęcało do tej inscenizacji. Pojmuję: „Pstrąg wyjałowiony z konceptów satyryczno-ideologicznych — któż może długo i bezkarnie uprawiać takie swawole! — szukał okazji, aby spojrzeć na przedmiot swych dotychczasowych zainteresowań i obsesji z wyższego piętra uogólnienia. Jednocześnie — z dystansu czasowego i przestrzennego. Spotkanie z Leszkiem Kołakowskim było dlatego nieuniknione. I oto odległa materia historiozoficzna, naszpikowana biblijnymi postaciami i zdarzeniami, zaszokowała ostrością aforyzmów, cienką refleksją z przerzutką w teraźniejszość. Tak jest świeża i żywa, niekiełznie aktualna, że zaprzątą młodych ludzi, przychodzących na drinka do współczesnego baru. Świetny to pomysł, aby wsunąć dyskurs w ramy bogato uposażonego lokalu — słowo od inscenizatora (Piotr Hertel) wykpiwa zresztą ten blichtr. Nie tylko miejsce „akcji" wprowadza we współczesny klimat — przydaje mu drażniącego kolorytu (inna warstwa przewrotności) zespół jazzowy, korzystanie z telefonu, dzisiejszy strój. Wszystkie te elementy wciskają budujące przypowieści w szerokie konteksty, otwierają dukty aluzji i skojarzeń. Toteż zupełnie niepotrzebnie nałożono na tę misterną konstrukcję piosenki, tworzywo zbędne, niesprzęgnięte z prowadzącym tropem spektaklu. Przypuszczalnie realizatorzy chcieli za pomocą wokalnych wstawek odprężyć nieco widzów i zwiększyć ich zdolność odbioru. Niepotrzebnie, chociaż kto nie ulegnie wdziękowi Ewy Nagurskiej!

Pragnę wreszcie pochwalić piękną sztukę interpretacji tekstu, tę umiejętność trafnego przekazu rozbudowanej frazy wersetu, tę łatwość i płynność, która będąc rezultatem wrażliwości wykonawców, jest zarazem dowodem ich aktorskiej sprawności. Nie sądzę, aby lepiej to zrobili zawodowi aktorzy. A władają tym kunsztem nie tylko weterani „Pstrąga" jak Andrzej Dems, Janusz Gawlik czy Jerzy Pieczyński. Zbigniew Zaliński z ostatniego zaciągu poświadcza, że przejmowanie dobrych tradycji jest tu szczęśliwą zasadą.

„Niebieski klucz" rekapituluje kolejny odcinek spływu „Pstrąga". Że przyszedł akurat w czas jubileuszu, rzecz to przypadku. Natomiast jestem skłonny twierdzić, że podobne propozycje znakują jakieś głębsze przeobrażenia. Zawsze do czegoś zobowiązują, a przynajmniej zmieniają, czy choćby tylko kwestionują kierunek poszukiwań. Nie okazałbym zdziwienia, gdybym zobaczył za kilka miesięcy na afiszu nazwisko Denisa Diderota albo Arnolda Zweiga („Spór o sierżanta Griszę"), albo Gustawa Flauberta („Bouvard i Pecuchet"). Albo — Cervantesa.

■ Pierwsza biografia G. B. Shaw'a ukazała się w roku 1911, a więc na lat czterdzieści przed śmiercią genialnego Irlandczyka. Jej autor A. Henderson był wielbicielem pisarza, podobnie jak i późniejsi jego biografowie, Ervine, Winsten i Harris. Wszystkich ich Shaw zaliczał do swych serdecznych przyjaciół i pomagał im w pracy, czego widomym śladem jest imponująca korespondencja zawierająca rady, wyjaśnienia i wskazówki.

Ale był i biograf, który Bernard Shaw nie obdarzył taką sympatią. Amerykanin T.D. O'Bolger pisał w roku 1913 pracę doktorską na temat twórczości Shaw'a. I on zwrócił się do sławnego już wówczas pisarza z prośbą o pomoc. Shaw w odpowiedzi przesłał mu obszerny list, w którym udzielał swym zwyczajem wielu wskazówek i wyjaśnień. Ale O'Bolger był umysłem krytycznym i pewne informacje Shaw'a zakwestionował. Tak doszło do konfliktu między nim, a porywczym Irlandczykiem, i wprawdzie książka została napisana, ale nigdy nie znalazła się na półkach księgarskich.

Obecnie inny naukowiec amerykański B.C. Rosset po długotrwałych pracach badawczych opublikował biografię młodości G.B. Shaw'a z lat dublińskich i londyńskich po rok 1886. Sumienna ta praca nawiązuje do badań O'Bolgera i rzuca nowe światło na tak ważny w życiu Shaw'a okres. Stawia też pewne tezy, które brzmią tak sensacyjnie, iż dysertację naukową czyta się jak powieść.

Okazuje się bowiem, że Shaw skrupulatnie nadzorując prace swych biografów, udzielał im fałszywych wskazówek i informacji, które miały ukryć przed światem drastyczną sytuację istniejącą w jego domu rodzicielskim. Od dawna wiadomo było, iż nad całą młodością pisarza zaważył George Vandeleur Lee, nauczyciel śpiewu, dyrygent i przyjaciel rodziny Shaw'ów, człowiek, który łożył na wykształcenie małego Bernarda, dobierał mu nauczycieli i lekturę, uzyskał dla niego posadę nauczyciela w Dublinie, a później pchnął go na drogę krytyka muzycznego, na której G. B. Shaw stawiał swoje pierwsze kroki pisarskie. Rosset w swej pracy ukazuje pożycie rodziców G.B. Shaw'a, rozpad tego małżeństwa, i rolę Lee, przyjaciela domu i serdecznego opiekuna matki Bernarda. Właśnie Lee nauczył ją śpiewać, uczynił z niej primadonnę i aż do końca swego pobytu w Dublinie był jej akompaniatorem i prowadził jej koncerty. Od roku 1836 dom rodziców Bernarda był również domem Lee, a gdy w roku 1873 przeniósł się on do Londynu, pani Shaw porzuciła męża i przeniosła się w ślad za swym nauczycielem. Przez całe lata Lee pokrywał wydatki rodziny Shaw, nigdy się nie ożenił, a chociaż nie należał do ludzi bogatych, kupił pani Shaw dom nad morzem.

Inspirowane przez G.B. Shaw'a biografie podają, iż w 1856 roku, gdy Bernard przyszedł na świat, Lee nie znał jeszcze jego matki. Rosset stwierdza na podstawie dokumentów, iż znajomość ta była dużo wcześniejsza i trwała aż do pełnoletności siostry Bernarda, Lucy. Wtedy to pani Shaw przepędziła ze swego domu muzyka, który mimo podeszłych już lat, obdarzał dwudziestoletnią

Herbert List: Pablo Picasso

■ **O ŚWIATOWEJ WYSTAWIE fotografii — drugiej po słynnym Family of Men retrospektywnej ekspozycji światowego dorobku w tej dziedzinie, głośny pisarz Heinrich Böll powiedział: „Te prace to nie ciekawskie podpatrywanie ludzkich tajemnic, to udana próba głębokiego ukazania tajemnic ludzkiej egzystencji. Kamera raz po raz odkrywa, iż ludzie, choć sobie nawzajem nierówni, wszędzie są ludźmi, a ich proces uczłowieczania właściwie dopiero się zaczął".**

**Wystawa eksponuje 555 zdjęć autorów wielu narodowości, i podobnie jak wspomniana już Rodzina Człowieczа — ukazuje los współczesnego człowieka od kołyski po grób, los dramatyczny, pełen wzlotów i upadków. Pełne liryki zdjęcia sąsiadują z tragicznymi obrazami wojny, klęski, śmierci. Mjej my nadzieję, że w swej wędrówce po świecie dzieło to zawędruje i do naszego miasta.**

Lucy coraz gorętszą atencją. Mimo tego przykrego incydentu, gorąca przyjaźń Bernarda i jego patrona — a Rosset twierdzi wręcz że ojca — przetrwała i ten wstrząs.

Czy jednak cała ta historia, odgrzebana po tylu latach ma jakiś sens, jeśli chodzi o analizę twórczości wielkiego pisarza? Rosset daje na to pytanie odpowiedź twierdzącą i stara się udowodnić, że właśnie świadomość pochodzenia z nielegalnego związku od początku zaprawiła twórczość G.B. Shaw'a akcentami krytyki społecznej. Co więcej, przeprowadzając analizę dramatów Shaw'a, Rosset stara się udowodnić, że wielki Irlandczyk tworzył pod działaniem kompleksu, jaki na młodzieńczej psychice wywarła ta dramatyczna historia rodzinna.

Oczywiście sądy Rossetа można uznać za dyskusyjne. Wydaje się jednak faktem, że Bernard Shaw wiele wysiłku włożył w to, by pewne fragmenty swego życiorysu ukryć przed ciekawością biografów i mimo, że dysponowali oni wspaniałym aparatem naukowym, zdołał tego dokonać. Zresztą miał chyba i ku temu pełne prawo.

# Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

Marian Anderson

■ **NAJSŁYNNIEJSZY** alt świata — Marian Anderson wycofując się z czynnego życia artystycznego w czasie pożegnalnego występu w Carnegie Hall raz jeszcze porwała tłumy słuchaczy brawurowym wykonaniem słynnego murzyńskiego spirytualsu „He's got the whole world im his hand".

Tak zamknęła się wspaniała, przeszło 30-letnia kariera: Marian Anderson, córka murzyńskiego węglarza, przez długie lata nie mogła wystąpić na amerykańskiej scenie wskutek zakazów rasowych i śpiewała w chórach kościelnych, pobierając początkowo 50 centów jako honorarium. Dopiero występy w Paryżu przyniosły jej światową sławę i otwarły drogę do słynnej Metropolitan Opera.

O głosie Marian Anderson powiedział Toscanini, iż nie ma sobie równego w naszym stuleciu.

■ **PO RAZ PIERWSZY** od roku 1917 część zbiorów leningradzkiego Ermitażu i moskiewskiego muzeum im. Puszkina pojedzie za granicę: już w maju 125 dzieł francuskich malarzy z tych galerii rozpocznie tourneé po Francji, które zakończy się 3-miesięczną wystawą w Luwrze. Jednocześnie podobna ekspozycja ze zbiorów Luwru pojedzie do Moskwy i Leningradu. Wartość zbiorów objętych wystawami wymiennymi oceniana jest na 160 milionów dolarów.

■ **DELEGACJA** pisarzy radzieckich z Aleksiejem Surkowem i Konstantym Simonowem na na czele bierze udział w Paryżu w dyskusji zorganizowanej przez PEN-club. Celem wymiany poglądów jest rozpatrzenie możliwości powołania do życia radzieckiego oddziału PEN-clubu.

■ **SALVADOR DALI**, słynny z ekstrawagancji malarz — surrealista zawarł z pewną amerykańską firmą umowę na opracowanie modeli kostiumów kąpielowych i odzieży sportowej. Obecnie fachowcy od spraw mody z niepokojem oczekują co wyniknie z tej niezwykłej umowy.

■ **DO MOSKWY** przyjeżdża co dzień około miliona gości. W tych warunkach problem rozbudowy sieci hoteli staje się z dnia na dzień bardziej palący. Obecnie największą inwestycją Moskwy jest rozpoczęta już budowa hotelu „Rosja", obliczonego na 6 000 miejsc. Będzie on sześć razy większy od „Ukrainy" największego obecnie hotelu Moskwy. „Rosja" pomieści prócz basenów kąpielowych i wielopiętrowych garaży, także kino, parę sal koncertowych, największą kawiarnię Moskwy i szereg sal restauracyjnych.

Prócz tej gigantycznej budowy, wznoszone są w Moskwie dalsze hotele: w okolicy placu Smoleńskiego powstają dwa 20-piętrowe gmachy zlokalizowane na zapleczu Kremla. Imponujący rozmach przedsięwzięć budowlanych łączy się z zapowiedzianą na rok 1967 Światową Wystawą w Moskwie.

■ **28 kwietnia 1885 roku — a więc przed osiemdziesięciu laty urodził się Egon Erwin Kisch. Od stuleci osiadła w Pradze niemiecko-żydowska rodzina Kischów była tradycyjnie związana ze stateczną działalnością handlową i nikomu ze starszej generacji Kischów nie przyszłoby zapewne do głowy, że mały Egon rozsławi stary ród na cały świat — ale w jakiej niepoważnej branży: jako dziennikarz! Że zdobędzie pseudonim „Szalejącego Reportera"! I to właśnie mały Egon, którego ojciec upatrzył na spadkobiercę firmy. Egon — i tylko Egon, bo owego „Erwina" wymyślił Egonek, ten niespokojny duch, publikując swe młodzieńcze wiersze jako puściznę po jakimś wyimaginowanym „wielkim bracie Erwinie". Poezja nie była jednak powołaniem twórcy współczesnego reportażu. Pociągała go dziennikarka. Przed pierwszą wojną światową praska gazeta „Bochemia", liberalnie redagowana przez Paula Wieglera zaczęła publikować pierwsze, nieśmiałe jeszcze próby Kischa. Wkrótce potem przygarnęła go „Neue Freie Presse" w Wiedniu, I oto już był głośny, zdobywszy sławę swym sensacyjnym reportażem „Jak odkryłem, że Redl jest szpiegiem". Jak to się często zdarza w dziennikarstwie, dzięki przypadkowi i swemu instynktowi, natrafił Kisch na dowody, iż szef sztabu generalnego korpusu praskiego, pułkownik Redl zdradził Rosjanom plany mobilizacyjne armii austriac-**

Egon Erwin Kisch

**kiej. Liberalna cenzura Wiednia, spostrzegawczość i genialna wprost umiejętność wyciągania trafnych wniosków, no i (jak sam Kisch przyznawał) przysłowiowy łut szczęścia, oto na jakich podstawach zbudowany został zaczątek światowej sławy Szalejącego Reportera.**

**A jego warsztat pisarski? I to kiedyś Kisch sam zdefiniował: po pierwsze SCEPTYCZNA CIEKAWOŚĆ, nie dająca ani chwili spokoju, domagająca się zaspokojenia i podjęcia każdego ryzyka. Po drugie PRECYZJA WYRAZU: Kisch swe manuskrypty przepisywał dziesiątki razy, a zdania szlifował, wymagając od samego siebie niemal flaubertowskiej klarowności. Po trzecie: OBIEKTYWNOŚĆ. (Chociaż gwoli prawdy, trzeba powiedzieć, że w reportażach Kischa, zawsze uczciwie przedstawiających istotę problemu, zdarzają się często ozdobniki, będące tworem tylko jego literackiej fantazji).**

**Po pierwszej wojnie światowej Kisch osiedlił się w Berlinie i związany z ruchem lewicowym starymi sympatiami, a także węzłami rodzinnymi (nie należał do partii, natomiast jego żona, Gisl, była aktywną i wybitną działaczką KPD) w coraz nowych tomach swych reportaży tropił współczesność po wszystkich kontynentach. Australię zwiedził jako delegat Światowego Kongresu Pokoju, Związek Radziecki poznał w okresie wielkich stalinowskich pięciolatek, wreszcie osiedlił się w Meksyku, zza oceanu śledząc przebieg drugiej wojny światowej, którą przewidywał i której sprawców i winowajców wskazywał na długo przed jej wybuchem. Po wojnie wrócił do Pragi i tam 31 marca 1948 roku śmierć przecięła ten pracowity, burzliwy, niespokojny żywot, który zawsze będzie wzorem dla dziennikarzy.**

**A dziś, chociaż reportaż współczesny zmienił swe formy i pisze się go już inaczej niż za czasów Kischa, przecież puścizna po Szalejącym Reporterze nadal stanowi abecadło każdego adepta tej trudnej sztuki. Co więcej, — książki Kischa nadal są bestsellerami. W walce z czasem nadal zwyciężają i czyta je się wciąż z tym samym zainteresowaniem co przed laty.**

# Notatnik KULTURALNY

**PONIEDZIAŁEK**

Ze wszystkich postaci Lenina, kreowanych przez aktorów polskich i radzieckich, jakie widziałem, największe wrażenie — mogę to powiedzieć otwarcie — zrobiła na mnie kreacja Ignacego Machowskiego w poniedziałkowym teatrze TV, który nam pokazał „próbę dramatu dokumentalnego" Michała Szatrowa pt. „Szósty lipca". Postać Lenina w interpretacji Machowskiego była pełna prostoty a jednocześnie bogata psychicznie. Artysta świetnie operował gestem i mimiką. Dużą niespodzianką był również oryginalny montaż dokumentalny, który zbliża się jakby do nowego gatunku dramaturgicznego na pograniczu reportażu i tradycyjnego dramatu. Nieskrępowany rygorami tradycyjnej dramaturgii Szatrow śmiało operuje bogatym materiałem faktograficznym, budując sceny nie ustępujące pod względem napięcia fragmentom doświadczonych dramaturgów.

**WTOREK**

We wtorek odbył się w Klubie Dziennikarza pokaz filmu produkcji czechosłowackiej „Serengeti nie może umrzeć". Reżyser Michał Grzimek sfilmował rezerwat pod tą nazwą w Afryce, który jest rajem zwierząt, gdzie jak rok długi panuje lato i wiosna. Zadanie, jakie sobie postawił reżyser, to — zbadać szlaki wędrówek wielkich stad dzikich zwierząt, zebr, antylop, lwów, ptaków w tej mało znanej części Afryki zamieszkałej przez szczep Masajów. W kraterze wygasłego wulkanu o średnicy 20 kilometrów został utworzony rezerwat dla zagrożonych wyginięciem gatunków dzikich zwierząt, których tutaj oblicza się na dziesiątki tysięcy (zebr, antylop, pelikanów itd.). Reżyser dokonał swych obliczeń i badań posługując się awionetką. Film jest kolorowy, doskonale zrobiony i odsłania rewelacyjne dla nas strony z życia zwierząt w buszu. Film znajdzie się niebawem na ekranach i nie należy pominąć sposobności obejrzenia go.

**ŚRODA**

W Biurze Wystaw Artystycznych została otwarta ekspozycja akwarel i gwaszów zasłużonej malarki artystki Heleny Lorii-Landeckiej. W interesującym wstępie do prospektu prof. Henryk Anders wprowadza widzów w tajniki warsztatu twórczego malarki, która przez jakiś czas studiowała w pracowni Wojciecha Weissa. Ekspozycja cieszy się dużym powodzeniem wśród publiczności łódzkiej, która daje wyraz swoim upodobaniom do tradycyjnego malarstwa przedstawiającego.

**CZWARTEK**

Groteska sceniczna to trudny gatunek, z którego niepostrzeżenie można stoczyć się w farsę. Tak się też stało z przedstawieniem telewizyjnym teatru TV, który pokazał nam „Sen wujaszka" Teodora Dostojewskiego w wykonaniu zespołu katowickiego. Szwankował i przekład (dlaczego, żeby nie być gołosłownym, nadużywano na przykład słowa „naciągać" zamiast bardziej odpowiedniego w kontekście „oszukiwać"?) i gra aktorów, którzy nas nie zachwycili. Naturalnie, nie wolno zapominać, że widzowie telewizyjni przyzwyczaili się do znakomitej interpretacji aktorskiej, jaką daje im zwykle TV, i niełatwo ich teraz zadowolić poprawnym wykonaniem.

**PIĄTEK**

Czy Państwo wiecie, że od pierwszego konkursu recytatorskiego, który zainicjowało Ministerstwo Kultury i Sztuki upłynęło już dwanaście z górą lat? I że ta z początku wybitnie inteligencka impreza przekształciła się w akcję masową z udziałem robotników i chłopów? Julian Przyboś nazwał imprezy recytatorskie „wolnym ruchem twórczej mowy". Bardzo to przyjemne określenie! Ale czy też Państwo wiecie, że w wyniku oceny ostatniego czy XI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego Ministerstwo Kultury i Sztuki wskazało na województwo łódzkie jako na przykład wzorowego pokierowania pracami związanymi z realizacją Konkursu. Sądzę, że my, łodzianie, powinniśmy być z tego dumni. Dlatego warto tutaj wspomnieć o ludziach pracujących w tak zwanym „terenie" naszego województwa, z których na szczególną uwagę zasługuje pracujący ofiarnie od wielu lat, niestrudzony prezes Zarządu Wojewódzkiego Zarządu Teatrów Amatorskich prof. Michał Orlicz.

**SOBOTA**

Coraz częściej, niestety, dają się zauważyć objawy nieposzanowania polszczyzny w oficjalnych wypowiedziach. Dzieje się tak w terenie, nad czym należy i można ubolewać, ale skoro zło idzie z centralnych instytucji Warszawy, i to — z Polskiego Radia, to już chyba należy rozdzierać szaty i bić na alarm! Szczególnie źle wygląda ta sprawa w dziennikach porannych i wieczornych oraz w komentarzach do dziennika. Obserwuję już od paru miesięcy brak elementarnej staranności w redagowaniu komentarzy radiowych. Sądziłem, że to przypadkowe potknięcia, okazuje się jednak, że brak poprawności zaczyna być regułą. Oto 23 kwietnia br. w komentarzu do dziennika porannego ktoś postulował... „celowość wydatków dla osiągnięcia celu". Kto inny znów, a może ten sam niestylistyczny obywatel zalecał **współpracę** dla podniesienia wydajności **pracy.** Rozumiemy, że pośpiech dziennikarski może usprawiedliwić jednorazowe, sporadyczne potknięcia; ale tych potknięć już za wiele! Chciałoby się wołać: Koledzy z Polskiego Radia, oszczędźcie nasze uszy i nie demoralizujcie złą stylistyką milionów ludzi, którzy was słuchają!

**NIEDZIELA**

Jeszcze raz o niechlujstwie stylistycznym w dziennikach radiowych, porannym i wieczornym! To już zaczyna wchodzić w zły nałóg! Oto 27 kwietnia w dzienniku porannym o godzinie 7 w Warszawie I mieliśmy nowy kwiatek: „Informacja w wielu wypadkach pozostawiała wiele do życzenia. I rzeczywiście! Bo przecież wystarczyłoby drugie „wiele" zastąpić słowem „dużo" i oszczędzono by nam masła maślanego. Ciekawe, czy redaktor odpowiedzialny za teksty dzienników ma tyle innych ważniejszych zajęć i nie nadąża: czy po prostu — nie dba? A może i jedno, i drugie?

ARYSTARCH

KRYSTYNA WOJTASIK

# MARCHOŁT

„Komedia sowizdrzalska w ośmiu sprawach" Romana Brandstaettera (prapremiera w roku 1955) nawiązuje do nurtu literatury plebejskiej z przełomu wieku XVI i XVII. Imię głównego bohatera, Marchołta, zaczerpnął autor z pierwszej (jaką znamy) drukowanej książki polskiej, która ukazała się w Krakowie, w drukarni Hieronima Wietora, w roku 1521. Przetłumaczył tę małą książeczkę z języka łacińskiego bakałarz krakowski, Jan z Koszyczek, pod tytułem: „Rozmowy, które miał król Salomon mądry z Marchołtem grubym a sprośnym, a wszakoż jako o niem powiadają bardzo wymownym..." W ten sposób postać Marchołta, której rodowód sięga starożytności a popularność na gruncie europejskim epoki średniowiecza, została przyswojona literaturze polskiej.

U Brandstaettera Marchołt jest wcieleniem plebejskiego buntu przeciwko możnym tego świata, bogatym mieszczanom i szlachcie, wcieleniem ludowej twórczości satyrycznej, buntowniczej satyry, występującej przeciwko niesprawiedliwościom ówczesnego ustroju, którą uprawiali anonimowi twórcy, pozostający jakby poza nawiasem społeczeństwa: sowizdrzały i franci.

Sztuka Brandstaettera rzucona więc została na wyraziście zarysowane tło społeczne czasów panowania Zygmunta III.

Ale przy tym „Marchołta" można nazwać komedią poetycką. Napisana została ładnym wierszem, stylizowanym na staropolski językiem. Posiada lekkość i wdzięk. Wydobycie tych walorów zawartych w utworze stanowi oczywistą zasługę reżysera spektaklu w Teatrze Ziemi Łódzkiej — Czesława Staszewskiego, scenografa — Jerzego Szeskiego, którego umowne, a żartobliwe, przy tym „funkcjonalne", dekoracje znakomicie trafiają w ton i styl przedstawienia, następnie twórcy oprawy muzycznej — Andrzeja Hundziaka oraz aktorów. Wydaje się, że rzadko zdarza się spektakl utrzymany tak konsekwentnie w każdym szczególe w przyjętej tonacji, która z kolei jest absolutnie zgodna (takie wrażenie odnosi widz) z tzw. duchem utworu dramatycznego, czyli, jak w tym wypadku, wesołej krotochwili nie pozbawionej głębszego sensu (historyczno-społecznego).

Cały zespół aktorski tej tonacji podporządkowany i ją tworzący, z Jerzym Staszewskim — Marchołtem, Henrykiem Dudzińskim — sędzią Kalitowskim (główni adwersarze) i Zbigniewem Szymczakiem — wojewodą, na czele, bawi nas i cieszy, tym bardziej, że i wiersz mówiony jest ładnie i dykcja bardzo staranna.

Staranność, właśnie ta cecha, jakby najdobitniej rzuca się w oczy w całym spektaklu. Cecha jak najoczywiściej pozytywna i pożądana. Ale mimo niej, mimo uznania dla pracy i dobrego smaku twórców przedstawienia i jego wykonawców, dla walorów języka sztuki, dobrego gatunku jej poezji, jej subtelności i finezji całość „nie bierze". Jest może nazbyt przestylizowana, nazbyt gładka i potoczysta, a rozwiązania konfliktów i sytuacji zbyt łatwe do przewidzenia, a raczej nawet sugerowane przez autora. Całość, mimo wszystko, jest chłodna. I dlatego widz jakoś nie potrafi się zaangażować uczuciowo w perypetie Marchołta i jego kompanii. Stoi z boku i przygląda się, z przyjemnością co prawda, ale tylko obserwuje. Sądzę, że nie dzieje się tak za sprawą teatru.

**Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej „Marchołt" Romana Brandstaettera. Reżyseria: Czesław Staszewski. Scenografia: Jerzy Szeski. Muzyka: Andrzej Hundziak. Choreografia: Józef Matuszewski.**

Fot. FR. MYSZKOWSKI

## PÓŁKA z książkami

### „KONFORMISTA"

Skrajny konformizm Marcella, bohatera przełożonej u nas ostatnio powieści popularnego pisarza włoskiego Alberta Moravii, doprowadza go do całkowitej klęski: traci w jednej chwili rodzinę, ideologię, dla której współuczestniczył w zbrodni, a także mocodawców, którzy zręcznie wykorzystywali jego skłonność do ustępstw.

Być może Moravia postawił sobie za cel zawężenie problemu konformizmu tylko do skali włoskiego faszyzmu, książka bowiem ukazała się po raz pierwszy w r. 1951, a więc niedługo po wojnie światowej. W takim razie trzeba na nią spojrzeć jako na jeszcze jedną książkę o „dżumie" odbitej w świadomości „szczura", że użyję tu typu obrazowania Camusowskiego. Można więc do prozy Moravii przyłożyć wykładnię rozszerzającą, jest to bowiem interesujące studium konformizmu w ogóle.

Powieść Moravii, niezależnie od swej wymowy moralnej, jest równocześnie ciekawym studium obyczajowym. Faszystowskiej — pozornej — tężyźnie fizycznej i moralnej został tu przeciwstawiony świat nasycony zboczeńcami; trzeba dodać zboczeńcami, którzy są produktem stosunków społecznych. Są to zresztą na ogół zboczeńcy nieszkodliwi — w każdym zaś razie rzadko posuwający się aż do tych najcięższych zbrodni, które w aureoli tężyzny fizycznej i moralnej popełniali sadystyczni mordercy w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Powieść Moravii jest kolejną pozycją czytelnikowskiej serii „Nike".

K. F.

**Alberto Moravia: „Konformista", Wyd. Czytelnik, 1964, str. 482, cena zł 25.**

### „PRZED ŚWITEM"

Bielszczanin Kazimierz Palma zadebiutował tomem opowiadań „Przed świtem" (całość wzięła nazwę od tytułu jednego z utworów). Autorowi udało się od razu przekroczyć debiutancki próg i otrzymaliśmy książkę dojrzałą, jedną z ciekawszych pozycji produkcji wydawniczej ubiegłego roku, a bez wątpliwości najlepszy debiut prozatorski roku 1964.

Debiut to tym ciekawszy, że Palma w nieznacznym tylko stopniu eksploatuje doświadczenia własnego dzieciństwa, niechętnie sięga do autobiografii, cały wysiłek skierowując na demaskowanie tych stron naszej współczesności, które doprowadzają do pomniejszenia roli człowieka. Pisze o sprawach niewątpliwie znanych mu z autopsji, jest bowiem robotnikiem, ale pisze znakomitą artystyczną prozą szczęśliwie unikając pułapek zastawionych przez reportaż literacki czy też wspomnienia. Toteż cykl opowiadań o robotnikach („Mokry łapacz iskier i następne") jest sukcesem autora, a także i wydawnictwa, które potrafiło zdobyć dla siebie tak obiecującego pisarza. Najciekawszym utworem tomiku jest dla mnie „Facita", pozornie zbieżna z Hłaską i hłaskoidami, o ileż jednak górująca sprawnością warsztatową i prawdą artystycznego wyrazu. Zresztą już cykl początkowy o Felicycie podbije bez reszty czytelnika.

Debiut Palmy raz jeszcze sygnalizuje, że gdy idzie o tzw. nowe twarze w literaturze, punkt ciężkości przesunął się zdecydowanie na prowincję.

K. F.

**Kazimierz Palma: „Przed świtem", Wyd. „Iskry", 1964, str. 111, cena 10 zł.**

### WIECZNY KARZEŁ

Nie lekceważmy skandynawskich laureatów nagrody Nobla! Oto poznajemy drugą książkę Pär Lagerkwista — i proza ta napawa nas głębokim szacunkiem: to poważne, myślące pisarstwo z pięknym warsztatem i bogatym podtekstem filozoficznym. To literatura przez duże L.

Opowieść o tragicznym, zżeranym nienawiścią dworskim karle, o renesansowym księciu, o miłości i wojnie, ambicji i o śmierci — jest przede wszystkim opowieścią o odwiecznej walce pierwiastków zła i dobra drzemiących w każdym człowieku. „Każdy człowiek ma swego karła" — mówi nam autor — „karzeł to zło, które towarzyszy człowiekowi". Symbolika opowieści zdobnej w bogate szaty Odrodzenia, dyskretna lecz wyrazista, zmusza czytelnika do przemyślenia tych odwiecznych kwestii — i do wyciągnięcia konkluzji. A także do konfrontacji z Czasem, z Historią, bo opowieść jest przenośnią ponadczasową i jej moral atakuje każdą epokę, każdy układ społeczny.

Najwyraźniej jednak odnosi się „Karzeł" Lagerkwista do czasów Wielkiej Pogardy, do wynaturzeń hitleryzmu. I w tym zasługa pisarza, który przecież wywodzi się z rodu chłodnokrwistych, unikających zaangażowania pisarzy skandynawskich. Ten umiar, ten chłód wyszedł zresztą tym razem dziełu na dobre, nadał mu dystans i wnikliwy obiektywizm głęboko przemyślanego humanizmu. I tak powstała piękna książka.

**Pär Lagerkwist „Karzeł", PIW, str. 198, zł 12.**

## *Książki nadesłane*

**Jan Gerhard** — FRANCUZI — Czyt.

**Marian Naszkowski** — LATA PRÓBY — KiW.

**Jan Brzechwa** — GDY OWOC DOJRZEWA — Czyt.

**Bronisław Baczko** — ROUSSEAU SAMOTNOŚĆ I WSPÓLNOTA — PWN.

**Stanisław Strumph — Wojtkiewicz** — SIERAKOWSKI — MON.

**Tadeusz Jodełka** — JAN KASPROWICZ — LSW.

**Zdzisław Morawski** — KWARTAŁ BOHATERÓW — Wyd. Łódzkie.

**Rudolf Jasik** — MARTWI NIE ŚPIEWAJĄ — MON.

**Henryk Gała** — ROZKUWANIE ZIEMI — Wydawn. Literackie Kraków.

**Krzysztof Coriolan** — MUZYKA W DREWNIE. — Wydawn. Literackie Kraków.

**Walentyna Najdus** — LENIN I KRUPSKA — Wydawn. Literackie Kraków.

**Stanisław Wasylewski** — ZERWANA KOKARDA — Wydawn. Literackie Kraków.

**Józef Andrzej Frasik** — Z RODU KAMIENNA — Wydawn. Literackie Kraków.

**Zbigniew Markowski** — STRUNY DŁUŻSZE OD GŁOSU — Wydawn. Literackie Kraków.

**Juliusz Kaden Bandrowski** — WAKACJE — Wydawn. Literackie Kraków.

## SPROSTOWANIE

W numerze 13 „Odgłosów", podpis pod zdjęciem do recenzji teatralnej „Nikt nie uratuje wieśniaka" powinien brzmieć: Maria Górecka i Sławomir Misiurewicz.

# O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Twórców nęci co pewien czas opowieść o własnym warsztacie, o powstawaniu dzieła sztuki. Temat wdzięczny zarówno w literaturze, jak i w filmie. Można mówić o tym poważnie, angażując cały filozoficzny światopogląd; jeśli dodać do tego prawdziwy geniusz artysty — powstaje film „Osiem i pół". Ale na ten sam problem kamera spojrzeć może przez palce... scenarzysty i reżysera. Tak właśnie postąpił scenarzysta (Norman Krasna) i reżyser (Jack Cardiff) w filmie „G e j s z a". Powstał w ten sposób film rozrywkowy, bezpretensjonalny, z wszelkimi konsekwencjami, jakie narzuca ten gatunek filmowy. Dlatego fabuła jest tutaj absolutnie błaha, nieważna: słynna hollywoodzka aktorka udaje gejszę przed swoim mężem — reżyserem filmowym, kręcącym w Japonii i nierozpoznana przyjmuje główną rolę w realizowanym przez niego filmie „Madame Butterfly" (a więc gra jest podwójna!). Ważne natomiast jest to, że widzimy w tej roli znakomitą aktorkę Shirley MacLaine. Właściwie film „Gejsza" pomyślany był jako film aktorski, robiony „pod gwiazdę". Shirley MacLaine i tym razem nie zawiodła, jest faktycznie główną atrakcją filmu, atrakcją, na którą warto się połakomić. Tym bardziej, że film szczęśliwie uniknął mielizn tak typowych dla hollywoodzkiej produkcji rozrywkowej. Przede wszystkim nie ma w nim luksusowej tandety i japońskich odpowiedników jelenia na rykowisku. Jest za to autentyczny japoński krajobraz prezentowany w całkiem udanych zdjęciach, a kolory choć intensywne nie krzyczą o pomstę do nieba. Są autentyczne japońskie zapasy. Są świetne naśladowania arii z „Madame Butterfly". Jest wreszcie sporo udanego humoru. „Gejsza" nie pretenduje do miana arcydzieła, jest prosta, naturalna, doskonale spełnia zadanie filmu rozrywkowego — bawienia publiczności. Aż zazdrość bierze, że brak nam takich bezpretensjonalnych polskich filmów rozrywkowych. Że brak poczucia, iż reżyser, to nie tyle samo co geniusz. Że filmy po prostu trzeba umieć robić. Że potrzebni są w filmie dobrzy rzemieślnicy.

„P i n g w i n" to romantyczna historia młodego człowieka (...) historia miłości (...) Będzie to próba pokazania młodego człowieka współczesnego, analiza stanów uczuciowych i myśli człowieka, należącego do nowego pokolenia, tak innego niż to, do którego ja należę" — mówił o swoim filmie reżyser i scenarzysta w jednej osobie — Jerzy Stefan Stawiński. Ale zamiar autora rozminął się z rezultatem. Próba pokazania młodego człowieka współczesnego nie powiodła się. Wydaje się, że po dramatach narodowych z ostatniej wojny nasi reżyserzy znaleźli już sobie nową obsesję: problem współczesnej młodzieży. Nową formę ucieczki od codziennej rzeczywistości współczesnych ludzi w pełni dojrzałych. A że krytycy rekrutują się właśnie z tej kategorii rodaków (przynajmniej wskazywałby na to ich wiek), można liczyć, że sprawdzi się przysłowie „nie pamięta wół, jak cielęciem był". I przysłowie faktycznie się sprawdza. Ja jednak powtarzam z uporem: „Pingwin" jest nie tylko nieprawdziwy, ale i nieznośny. Do rozpaczy może doprowadzić widza sztywno zastosowana maniera monologu wewnętrznego głównego bohatera, bez przerwy komentującego rzeczywistość. Ale w tym właśnie monologu ma on ujawnić nam całą swoją współczesność polegającą na tym, że nienaturalnie nieśmiały młodzieniec potrafi śmiało myśleć, ba, nawet używać w swych myślach słów dawniej nie całkiem cenzuralnych. Żeby nie zanudzić widza na śmierć natrętnym monologiem, wprowadza się wątki sensacyjne: „czarny" a uwodzicielski charakter, porwanie, pościg przez nasłanych zbirów. A wszystko rozwodnione łzami romantycznego dwudziestolatka Andrzeja. Przez większą część filmu widza trzyma dodatkowo w napięciu problem, czy Andrzej — „Pingwin" przyniesie mamie oliwę w puszkach, czy też nie przyniesie. Żeby też chociaż rodzice Andrzeja kłócili się z nerwem, przekonująco. Ale ani rodzice Andrzeja, ani jego koledzy — Adama, nie spisali się w tym filmie dobrze — pod względem aktorskim. W sumie — film sztuczny, pretensjonalny. No cóż, trudno wymagać wysokiego lotu od pingwina — choć ma skrzydła, latać nie może.

Kto chce się ośmiać za wszystkie czasy, powinien obejrzeć film „T r z y d z i e ś c i l a t ś m i e c h u". Przy okazji dowie się coś niecoś o historii kina, ujrzy fragmenty kronik sprzed kilkudziesięciu lat, którymi przeplatane są urywki dawnych filmów komediowych. Bo obraz ten stanowi antologię humoru filmowego okresu filmu niemego. Kogóż w nim nie widzimy! Jest przesławny Charlie Chaplin i jego mniej sławny brat przyrodni Syd Chaplin, jest Buster Keaton ze swoim niewzruszonym spokojem, są Stan Laurel i Oliver Hardy (późniejsza para — Flip i Flap) oraz wielu innych komików. Nic więc dziwnego, że dawka śmiechu jest tak duża, iż pod jego wpływem widz wychodzi z kina wręcz zmęczony. To z czego śmiano się przez trzydzieści lat, skomasowano przecież do jednego seansu. Gag goni więc za gagiem, a śmiech co chwila eksploduje na sali. Są tradycyjne kopniaki i tort na ubraniach bohaterów, jest niesłychanie dużo zabawnego absurdu, komicznych nieporozumień. Jest nawet niemal na surrealizm zakrawająca scena powodzi w filmie Snuba Pollarda. Nie zabrakło też „cudownego" dziecka — niezmordowanego figlarza z filmu Mack Sennetta „Proszę się uśmiechnąć" z Harry Langdonem w roli fotografa. A całą tę smakowitą mieszaninę przygotował z materiałów archiwalnych według własnego przepisu producent filmu Robert Youngson. Tu dodam kilka słów zachodniej oceny prasowej, pod którą w pełni się podpisuję: „Spośród wszystkich producentów amerykańskich parających się wyraźnie dochodowym zajęciem wskrzeszania pełnej chwały przeszłości kina amerykańskiego, Robert Youngson posiada niewątpliwie najwyższy stopień respektu dla materiału, który opracowuje. (...) Słowo dla purystów: ilustrację muzyczną i efekty dźwiękowe należy ignorować w możliwie maksymalnym stopniu". („Monthly Film Bulletin").

WIDZ

# PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

***Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV***

Alfred Hitchcock

EMIL LUDVIG

# MAŁY PRZESTĘPCA

Tik-ki-tak, tik-ki-tak — szeptał stary zegar znajdujący się na parterze.

Nie było żadnych dźwięków oprócz tykania zegara — oprócz głośnego bicia serca Ronny.

Chłopiec był w swojej sypialni na górze. Jego drobne ciało przebiegał dreszcz, na białym czole błyszczały krople potu.

Wydawało mu się, że zegar mówi: oj-ciec i-dzie, oj-ciec i-dzie!

Do pokoju zakradał się wrześniowy zmierzch 2056 roku. Ronny cieszył się, że już robi się ciemno. Miał ochotę wejść w głębokie milczenie nocy, złączyć się z nią, uciec na zawsze od gniewnych głosów i rozłoszczonych oczu.

W wypełnionych strachem źrenicach chłopca pojawiła się nadzieja. A może coś się stanie. Może coś się ojcu przydarzy na ulicy. Może...

Przygryzł usta, potrząsnął głową. Nie. Choćby ojciec nie wiem co z nim zrobił, nie należy życzyć mu...

Na małym placyku usłyszał warkot helikoptera. Ronny zadrżał, szybciej zabiło mu serce. Wszystkie mięśnie jego małego ciała zamieniły się w sieć mocno naciągniętego drutu.

Hałas i poruszenie na dole. Usłyszał kroki matki. Trzasnęły drzwi helikoptera. I głos uradowanego ojca na schodach:

— Hallo, kochanie!

Ronny zamarł w ciemności przy uchylonych drzwiach sypialni.

Proszę cię, mamo — krzyczało w nim — nie mów ojcu co zrobiłem!

Usłyszał niezbyt wyraźny szept.

— Co? — krzyknął ojciec.

Znowu szept.

— Naprawdę widziałaś, że on?... Do diabła!

Ronny cicho zamknął drzwi.

Dlaczego powiedziałaś mu, mamo, dlaczego? — myślał.

— Ronny! — zawołał ojciec.

Chłopiec wstrzymał oddech. Jego nogi były bezwładne jak polana.

— Ronny! Chodź tu!

* * *

Wyszedł z sypialni. Stanął na wielkim srebrnym kole. Pod jego ciężarem automat włączył ruchome schody. Po lewej stronie na ścianie widział przesuwające się obrazy pochodzące z kolekcji matki. Były to płótna lub reprodukcje takich średniowiecznych malarzy jak Rembrandt, Van Gogh, Cezanne, Dali. Wydawało mu się, że te twarze śmieją się z niego. Ronny czuł się jak zestrzelony ptak, który spada z nieba.

Zobaczył rodziców: czekali na niego. Oczy matki wypełniał niepokój i smutek, a ojciec w czarnym mundurze Pentagonu wyglądał jak wrogi przybysz. Miał przymrużone oczy, które przypominały czarne płomienie.

— Ronny, czy ty naprawdę czytałeś książkę? — spytał.

Chłopiec przełknął coś co mu utkwiło w gardle i skinął twierdząco głową.

— Boże — wyszeptał ojciec. Uklękł, wziął Ronny na ręce i spojrzał mu w oczy. Przez chwilę był takim jak dawniej — dobrym, wyrozumiałym ojcem. — Powiedz, synku, skąd wziąłeś książkę? Kto nauczył cię czytać?

Ronny usiłował opanować drżenie nóg.

— Ja... Tatusiu, prawda, że nic mi nie zrobisz?

— Wszystko zostanie między nami.

— To Kanny Davis. On...

— Kanny Davis! — z obrzydzeniem powtórzył ojciec. — Wstrętne chłopaczysko! Jego ojciec nigdy nie mógł dostać pracy. Nikt nigdy mu tego nie proponował. Wszyscy w mieście wiedzą, że on jest — Czytelnikiem!

Matka podeszła bliżej:

— David, obiecałeś, że nie będziesz się gniewał.

Ojciec warknął:

— No dobrze. Mów dalej, synku.

— Pewnego razu po lekcjach, Kanny powiedział, że mi coś pokaże. Poszliśmy do jego domu...

— Byłeś w tej jaskini? Naprawdę?...

— Kochanie — wtrąciła się matka — obiecałeś...

Chwila milczenia.

Ronny mówił dalej:

— ...poszliśmy i tam poznałem jego ojca. Mr Davis to bardzo ciekawy człowiek. Ma brodę i maluje obrazy i ma około 500 książek.

Umilkł.

— Mów — rozkazał ojciec.

— I ja... i Mr Davis powiedział, że nauczy mnie czytać, jeśli nikomu o tym nie powiem. I uczył mnie. Ach, tatusiu, książki są takie ciekawe! Mówią o tylu różnych rzeczach, których nie zobaczy się w wideo i nie usłyszy z płyt.

— Od jak dawna cię uczy?

— Prawie dwa lata.

Ojciec wstał, zacisnął pięści, zamknął oczy.

— Dwa lata — krzyknął — a ja myślałem, że mam dobrego syna... Tak, nie należało przyjeżdżać do tego miasta. Trzeba było zostać w Waszyngtonie...

— David — powiedziała matka drżącym głosem — jemu trzeba będzie przemyć pamięć.

Ojciec spojrzał na nią ponurym wzrokiem. Potem na Ronny. Powiedział głosem miękkim, ale nie wróżącym nic dobrego:

— Nie wiem, Edith. Nie wiem.

* * *

Ojciec usiadł w swoim fotelu przy kominku. Szepnął coś do małego mikrofonu znajdującego się przy fotelu. Metalowa ręka podała mu zapalonego papierosa.

— Podejdź bliżej, synu.

Ronny usiadł na stołku u nóg ojca.

— Widzisz, ty nie zawsze będziesz małym chłopcem. Kiedyś będziesz musiał pracować, zarabiać na życie. Masz tylko dwie możliwości: albo będziesz pracownikiem rządu, jak ja, albo jakiejś korporacji.

— A Mr Davis nie pracuje w tych instytucjach.

— Mr Davis jest nienormalny. To odszczepieniec. Żadna przyzwoita rodzina nie wpuści go do swojego domu. Dlatego jest skazany na samowystarczalność. A ja chciałbym żeby ciebie ludzie szanowali.

Ojciec zaciągnął się papierosem.

— Do niczego nie dojdziesz jeżeli ludzie dowiedzą się, że byłeś Czytelnikiem. W pracy wszystkie dokumenty są tajne bądź też ściśle tajne. Korporacje mają swoich konkurentów, a rząd ma wrogów. W papierach, które mogą dotrzeć do twoich rąk będą opisy nowoczesnej broni, plany reklam na przyszły rok, a nawet schemat likwidacji konkurenta. Dlatego tylko niektórzy powinni umieć czytać. Oczywiście, korporacja może nauczyć czytać jednego z tysiąca swoich pracowników. Ale początkowo powinien on wykazać się zdolnościami i lojalnością. Zrozum, nawet prezydentowi pozwolono nauczyć się czytać kiedy miał już pięćdziesiąt lat! Jeżeli wszystko dobrze pójdzie mnie też kiedyś zezwolą. A ty — masz trójwymiarowy wideo. W szkole możesz usłyszeć każdą taśmę jaką tylko zechcesz. Ronny, czy ty nie rozumiesz, że ja mogę stracić posadę, jeżeli ludzie dowiedzą się, że mój syn jest Czytelnikiem?

— Ależ, tatusiu...

— Edith, trzeba mu przemyć pamięć.

* * *

Ronny powstrzymywał się by nie płakać.

— Tatusiu, proszę, nie pozwól by mi zabrano mózg. Proszę...

— Zabiora ci tylko pamięć o dwóch ostatnich latach.

Kąciki ust matki zaczęły drżeć.

— Nie, David, nie rób tego. Może wystarczy zwykłe psychiatryczne leczenie. Po przemyciu Ronny będzie miał umysł 6-letniego dziecka.

— Nie widzę innego wyjścia. Jakie książki on czytał. Czy spaliłaś je?

— Nie.

Przynieś je. Spalimy to świństwo!

Matka przyniosła książki i położyła je u nóg ojca.

— Stare — mruknął — bardzo stare. To twoja wina, bo ty zainteresowałaś chłopca starymi przedmiotami, które przeniosłaś z domu swojej matki. Dla dziecka w okresie formowania się jego charakteru przedmioty oznaczają spokój i bezpieczeństwo. Ty też lubiłaś różnego rodzaju starzyznę i nic dziwnego, że Ronny zaczął interesować się książkami, a ja nie pomyślałem o tym i teraz... Ronny rozpocznie życie od nowa. Będziemy musieli go porzucić. Ja nie mogę mieć 8-letniego syna z umysłem noworodka.

— Nie, David, nie! — krzyknęła matka. — Ja nie pozwolę!

Wtedy uderzył ją w twarz.

Uniósł rękę by ponowić uderzenie ale rozmyślił się.

Wziął ze stołka jedną z książek.

— Jaka to książka?

— „Przygody Tomka Sawyera" — powiedziała płacząc.

— A ta?

— „Tarzan wśród małp".

Ze wstrętem rzucił je na podłogę.

— Edith, ty też umiesz czytać!

* * *

Matka przestała szlochać. Twarz miała bladą i mokrą od łez.

— David, od czasu naszego ślubu nie przeczytałam ani jednej książki. Chciałam być dobrą żoną...

— Dobrą żoną! — warknął ojciec. Ronny spojrzał na niego i odwrócił się z przerażeniem.

— Nauczyłam się... czytać, kiedy byłam dzieckiem. Zupełnie jak Ronny. Przecież wiesz jakie dzieci są lekkomyślne.

— Kłamałaś! — przerwał jej ojciec. — Dziesięć lat mnie okłamywałaś! Dlaczego pozwoliłaś by cię nauczono czytać? Dlaczego?

Milczała. Była zupełnie spokojna i już nie bała się męża.

— W wideo można zobaczyć jedynie tancerki, Indian, kosmonautów, ckliwą miłość... To za mało. Człowiek chce wiedzieć jak ludzie myślą, co czują. A przecież są piękne słowa i piękne myśli, a także piękne obrazy. Usłyszeć, by potem zapomnieć — to za mało. Czasem chce się zachować słowa i myśli i trzymać je przy sobie, jak własne.

Jej słowa pochłonęło uporczywe tykanie zegara. Matka stała wyprostowana i jakby z czegoś dumna. Ojciec spojrzał na nią, potem na Ronny, wreszcie popatrzył na zegar.

— Wynoście się stąd! Oboje. Nie mogę na was patrzeć.

Kiedy wyszli z domu była już noc i wiał chłodny wiatr. Matka drżała z zimna.

— Dokąd pójdziemy, Ronny?

Po pewnym czasie znaleźli się za miastem. Szli wiejską nierówną drogą. Prowadził Ronny.

— To tu — powiedział.

Stanęli przed domem otoczonym niewielkim zagajnikiem. Okna wypełniało ciepłe przyjazne złote światło. Drzwi otworzyły się i na progu stanął chłopiec.

— Hallo, Kanny!

— Hallo... To twoja mama?

— Tak. Czy jest Mr Davis?

— Oczywiście.

Po chwili ukazał się uśmiechnięty młody mężczyzna o przyjemnej brodatej twarzy.

Ronny i matka weszli do domu.

**Przełożył:**
**ROMAN GORZELSKI**

# PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

## Lewym okiem

*ANTYSELEKCJA I MOTOCYKL*

*Miłośnik książek nie przejdzie nigdy koło nich obojętnie. Musi dotknąć, spojrzeć na grzbiet, pod okładkę, przerzucić parę kartek, nie uspokoi się, dopóki nie stwierdzi, co to jest. Zatrzyma się przy każdym wózku i straganie ulicznym z książkami, weźmie do ręki... No, w Łodzi to może nie weźmie. Tych ileś tam ton sadzy na ileś tam metrów nie omija niestety straganów. Książki są brudne, z nadszarpniętymi okładkami, wysmolone, wymięte, a kosztują jak nowe. Więc ani do ręki wziąć, ani kupić. Najwyżej popatrzeć, co nowego wydano, tylko że znów nowości nie uwidzisz na wózkach.*

*Zatrzyma się przed każdą księgarnią. Przyjemnie jest upatrzeć sobie z wystawy parę tytułów, postudiować ceny, zgrać tytuł z ceną i ze stanem posiadanych środków obrotowych, wejść do środka, wyłuskać z kontuaru upatrzony tomik, zajrzeć pod okładkę, przerzucić parę kartek...*

*Owszem, tytuł sobie wybierzesz. Gorzej z ceną. Rozporządzenie Rady Ministrów z 7 października ubiegłego roku nakazuje przy każdym artykule, na każdej wystawie, gablocie, wywieszce itd. umieszczać wyraźną i jednoznaczną cenę detaliczną. Na każdym artykule, z wyjątkiem zapałek, kuponów Toto-Lotka, papierosów, kart pocztowych, pism i książek. Na książkach cena niepotrzebna; bo i tak ją wydrukowali. Wystarczy zaopatrzyć przechodniów w silne lunety, stanie sobie taki przed szybą, nastawi ostrość i już wszystko wie.*

*Chowasz więc lunetę i wchodzisz do księgarni. Gdyby to był sklep z rzodkiewkami lub z elaną, z fajansem lub krawatami, z nabiałem lub tysiącem drobiazgów — towar wyszedłby ci naprzeciw, mógłbyś w nim pogrzebać paluszkiem, pod światło podnieść, przymierzyć do ramienia. Najwyżej trochę by cię peszył czujny wzrok czterech sprzedawczyń, nieprzyzwyczajonych do preselekcji. W księgarni nikt cię nie speszy, przeciwnie, uprzejmy sprzedawca natychmiast zapyta o jaką książkę chodzi. Wejdzie wysoko na drabinę, męczy się, szuka, podaje. Człowiek ma przecież sumienie. Drugiej książki już nie nazwie: przepraszam — powie — trochę nie taka. Do widzenia. Całą przyjemność wyboru diabli wzięli, na ladach przeważnie nic nie ma, do półek cię nie dopuszczą. Zdaje się, że taki system sprzedaży nazywa się — w odróżnieniu od preselekcji — antyselekcją.*

*Niektórzy upoważniają księgarza. — Taką wie pan wesołą dla smutnego chłopca w wieku około trzydziestki.' Albo — taką z obrazkami o geometrii, w cenie odpowiedniej dla inteligenta bez zawodu... To jest nawet niezła metoda, bo księgarz — zamiast się męczyć przypominaniem sobie zalet i wad poszczególnych dzieł, wyrzuca od razu na ladę dwadzieścia sztuk i nareszcie można przebierać.*

*Są jeszcze inne metody. Bardzo wyrobiony czytelnik, nie omijający w prasie — może nawet w literackiej prasie — recenzji i not wydawniczych, dokonuje wyboru na podstawie tych recenzji i szuka po mieście konkretnego tytułu. Szuka i szuka. A przecież tytuł wyprzedany pół roku temu — recenzja nie bułka, cykl produkcyjny długi, prasa też ma czas.*

*Można też grać na książkowej loterii. Od dwunastu lat widzę ten sam motocykl, stojący to tu to tam przy loteryjnym stole. Główna wygrana. Po wygraniu motocykla za parę dziesięcioleci ostatnie losy spali się publicznie, razem z resztą nie rozlosowanych tomów „Klima Samgina" tymczasem jednak można grać. Tyle że książek z tego w domu nie będzie, czasem ledwie trochę makulatury dla „Akcji Mrówka".*

*Wreszcie — można pożyczać. Jedyna metoda niezawodna. Najlepiej z biblioteki, ale nie zaszkodzi też prywatnie. Pożyczać i — oczywiście — nie oddawać. Ale tego to już chyba nikogo nie trzeba uczyć; nawet w Dniach Oświaty, Książki i Prasy.*

*ĆWIEK*

**Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam 1183.IV.65. N-13**